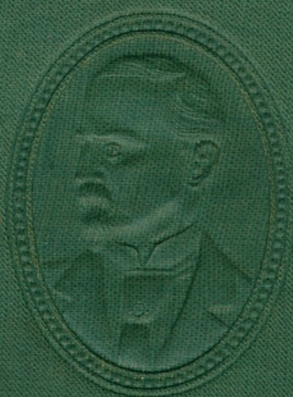


Henryk Sienkiewicz



PISMA

XV

WYDANE

REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XV.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XV

3 06 961

RODZINA POŁANIECKICH
CZĘŚĆ I.

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900



78951 L-P

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1899

Była godzina pierwsza po północy, gdy Polaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu. Za swoich dziecinnych lat był on dwukrotnie w tej wsi, dokąd jego matka, daleka krewna pierwszej żony dzisiejszego właściciela Krzemienia, wozila go na wakacye. Polaniecki usilował teraz przypomnieć sobie tę miejscowość, ale przychodziło mu to z trudnością. Po nocy, przy księżycu, wszystko brało kształty odmienne. Nad zaroślami, łąkami i grudzią leżał nizko biały tuman, zmieniając całą okolicę w bezbrzeżne jezioro, a złudzenie to powiększały jeszcze odzywające się w tumanie chóry żab. Noc była lipcowa, bardzo pogodna i oświecona pełnią. Chwilami, gdy żaby milkły, słychać było derkacze, grające po rosie, a czasem z daleka, od błotnistych stawów, ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby z pod ziemi, głos bąka.

Polaniecki nie mógł się oprzeć urokowi tej nocy. Była mu ona jakaś swoja, i tę swojskość

odczuwał tem lepiej, że dawniej nie często bywał w kraju, a dopiero przed dwoma laty powrócił na stałe z za granicy, gdzie spędził pierwszą młodość, a później zajmował się sprawami handlowemi. Teraz, gdy wjeżdżał do tej śpiącej wioski, przypomniało mu się także własne dzieciństwo, pamiętne ze względu na matkę, która od pięciu lat nie żyła, i dlatego, że przykrości i troski tego dzieciństwa, w porównaniu do dzisiejszych, wydawały się zupełnie blahe.

Bryczka wtoczyła się nakoniec do wsi, którą poczynał krzyż, stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groził upadkiem. Polaniecki pamiętał go dlatego, że w swoim czasie pochowano pod tą wydmą wisielca, którego znaleziono na gałęzi w poblizkim lesie, a potem ludzie bali się tamtędy nocą przechodzić.

Za figurą poczynały się pierwsze chaty. Ale ludzie już spali. W żadnem oknie nie było światła. Jak okiem sięgnąć, połyskiwały tylko na nocnem tle nieba oświecone księżycem dachy chałup, które w tym blasku wydawały się srebrne i siwe. Niektóre chałupy były umazane wapnem i świeciły jasno-zielono; inne, ukryte w sadkach wiśniowych, w gąszczu słoneczników lub tyczkowej fasoli, zaledwie wychylały się z cienia. Po podwórkach czekały psy, ale jakby przez sen, dając wtór rzechotaniu żab, graniu derka-

czy, bąków i tym wszystkim wołaniom, któremi odzywa się letnia noc, a które potęgują jeszcze wrażenie ciszy.

Bryczka, posuwając się zwolna sypką, piaszczystą drogą, wtoczyła się nakoniec w ciemną aleję, popstrzoną tylko tu i owdzie światłem, wdzierającym się przez liście. Na końcu tej alei poświstywali stróże nocni. Przy ujściu bieleł się dwór, w którym kilka okien było oświetlonych. Gdy bryczka zaturkotała przed gankiem, z domu wybiegł służący chłopak, który począł pomagać Połanieckiemu przy wysiadaniu, a oprócz tego zbliżył się stróż nocny i dwa białe psy, widocznie bardzo młode i łagodne, gdyż zamiast szczekać, jęły łasić się, wspinać się na gościa i okazywać z jego przybycia radość tak wielką, iż stróż musiał miarkować jej wylew za pomocą kija.

Chłopak zdjął z bryczki rzeczy Połanieckiego, on sam zaś znalazł się po chwili w jadalnym pokoju, gdzie czekała na niego herbata. Przy jednej ścianie stał orzechowy kredens, obok zegar z wielkimi wagami i kukułką, z drugiej strony dwa liche portrety kobiece w strojach z ośmnastego wieku, na środku zaś stół, nakryty białą serwetą, otoczony krzesłami o wysokich poręczach. Pokój ten, oświetlony jasno,

pelen pary, unoszącej się z samowaru, wyglądał dość gościnnie i wesolo.

Polaniecki począł przechadzać się wzdłuż stołu, ale skrzywienie własnych butów raziło go w tej ciszy, poszedł więc ku oknu i patrzył przez szyby na oświecone księżycem podwórze, po którym te same dwa białe psy, które witały go z takim wylaniem, gonily się teraz z sobą.

Po niejakiem czasie drzwi przyległego pokoju otworzyły się, i weszła młoda osoba, w której Polaniecki domyślił się córki właściciela Krzemienia, urodzonej z drugiej jego żony. Na jej widok wyszedł więc z framugi okna i, zbliżywszy się w swoich skrzypiących butach do stołu, sklonił się i powiedział swoje nazwisko.

Panna wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Wiedzieliśmy z depeszy o pańskim przyjeździe. Tatko trochę chory i musiał się położyć, ale jutro rad będzie pana zobaczyć.

— Nie moja wina, żem przyjechał tak późno — odpowiedział Polaniecki: — pociąg przychodzi dopiero o jedenastej do Czerniowa.

— A z Czerniowa jeszcze dwie mile do Krzemienia. Mówił mi ojciec, że pan tu nie pierwszy raz.

— Przyjeżdżałem tu z matką, gdy pani nie było jeszcze na świecie.

— Wiem. Pan jest krewny ojca.

— Ja jestem krewny pierwszej żony pana Pławickiego.

— Ojciec bardzo ceni związki rodzinne, choćby najdalsze — odrzekła panna.

I zaczęła nalewać herbatę, odganiając od czasu do czasu drugą ręką parę, która, podnosząc się z samowaru, przesłaniała jej oczy. Gdy rozmowa się przerwała, słychać było tylko tyk zegara. Polaniecki, którego interesowały młode kobiety, przypatrywał się pannie Pławickiej. Była to osoba średniego wzrostu, dość wysmukła; włosy miała ciemne, twarz łagodną, ale jakby zgaszoną, pleć nieco opaloną od słońca, oczy niebieskie i prześliczne usta. Wogóle była to twarz kobiety spokojnej i delikatnej. Polaniecki, któremu nie wydała się brzydka, ale też nie wydała się piękna, myślał jednak, że jest dość miła, że może być dobra i że pod tą powierzchownością niezbyt świetną może posiadać mnóstwo tych rozmaitych przymiotów, które posiadają zwykle wiejskie panny. Jakkolwiek był młody, życie nauczyło go jednej prawdy, że kobiety, przy bliższem poznaniu, wogóle zyskują, mężczyźni wogóle tracą. Słyszał także o pannie Pławickiej, że całe gospodarstwo w Krzemieniu, prawie zresztą zrujnowane, polega na jej głowie, i że to jest jedna z najbardziej zapracowanych istot na świecie. Otóż w stosunku do

tych kłopotów, które musiały ją obarczać, wydała mu się spokojną i pogodną. Prócz tego pomyślał, że zapewne jej się spać chce. Widać to było nawet po jej oczach, mrużących się mimowoli pod światłem wiszącej lampy.

Egzamin byłby wypadł wogóle na jej korzyść, gdyby nie to, że rozmowa z nią szła trochę trudno. Ale tłómaczyło się to tem, że się widzieli po raz pierwszy w życiu. Przyjmowała go przytem sama, co dla młodej panny mogło być kłopotliwe. Nakoniec wiedziała, że Polaniecki przyjechał do nich nie w odwiedziny, ale po pieniądze. Tak było w istocie. Matka jego oddała przed bardzo dawnym czasem dwadzieścia kilka tysięcy rubli na hypotekę Krzemienia, które Polaniecki chciał teraz odebrać, raz dlatego, że zalegano bardzo z procentami, a powtóre, że będąc współnikiem domu handlowego w Warszawie, wszedł w rozmaite interesa i potrzebował kapitału. Z góry też obiecał sobie nie czynić żadnych ustępstw i swoje koniecznie odzyskać. W tego rodzaju sprawach chodziło mu zawsze o to, by okazać się człowiekiem nieugiętym. Nie był on nim może z natury, ale uczynił sobie z nieugiętości zasadę, a zarazem sprawę miłości własnej. Skutkiem tego często przesadzał, jak czynią zawsze ludzie, którzy coś w siebie wmawiają.

I teraz więc, patrząc na tę pannę miłą, ale widocznie senną, powtarzał sobie wbrew współczuciu, które się w nim budziło:

— Wszystko to dobrze, ale musicie zapłacić.
Po chwili rzekł:

— Słyszałem, że pani wszyskiem się tu zajmuje: czy pani lubi gospodarstwo?

— Lubię bardzo Krzemień — odpowiedziała.

— I ja lubiłem Krzemień, gdy byłem chłopcem. Ale gospodarzyćbym w nim nie chciał.. Takie trudne warunki..

— Trudne, trudne... Robimy też, co w naszej mocy.

— To jest, pani robi, co w pani mocy.

— Pomagam ojcu, który często jest cierpiący.

— Ja się na tych rzeczach nie znam, ale z tego, co widzę i słyszę, wnoszę, że większa część rolników nie może liczyć na przyszłość.

— Liczymy na Opatrzność..

— To wolno, ale wierzycieli nie można do niej odsyłać.

Twarz panny Pławickiej pokryła się rumieńcem — i nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

A Polaniecki powiedział sobie:

— Skoroś zaczął, to idź dalej.

I rzekł:

— Pani pozwoli sobie wyjaśnić cel mego przybycia.

Panna spojrzała na niego wzrokiem, w którym Polaniecki mógł wyczytać: «Dopieroś przyjechał, godzina jest późna, ja ledwie żyję ze zmęczenia — że też najprostsza delikatność nie wstrzymała cię od rozpoczęcia takiej rozmowy».

Głośno zaś odrzekła:

— Ja wiem, dlaczego pan przyjechał, ale może będzie lepiej, gdy pan z ojcem o tem pomówi.

— Dobrze; przepraszam panią — odrzekł Polaniecki.

— To ja przepraszam pana. Ludzie mają prawo dopominać się o swoje, i ja jestem do tego przyzwyczajona. Ale dziś jest sobota; w sobotę ma się tyle roboty. Zresztą w tego rodzaju sprawach, pojmuje pan... Czasem, gdy przyjeżdżają Żydzi, układam się sama... Ale tym razem wolalabym, żeby pan mówił z papą. Będzie nam obojgu łatwiej.

— Więc do jutra — rzekł Polaniecki, któremu zabrakło odwagi do powiedzenia, że w sprawach pieniężnych chce być traktowany, jak Żyd.

— Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

— Nie, dziękuję. Dobranoc pani.

I, wstawszy, wyciągnął rękę; panna zaś podała mu swoją daleko mniej serdecznie, niż na

powitanie, tak, że dotknął zaledwie końców jej palców.

Odchodząc, rzekła:

— Służący wskaże panu pokój...

I Polaniecki został sam. Czuł pewien niesmak i był niezadowolony z siebie, choć nie chciał wewnątrznie tego przyznać. Począł nawet wmawiać w siebie, że dobrze zrobił, gdyż przyjechał tu nie dla prawienia grzeszności, ale po pieniądze. Co mu panna Pławicka? Ani go grzeje, ani ziębi. Jeśli go będzie miała za gburą, to tem lepiej, bo zwykle tak się dzieje, że im wierzyciel jest bardziej przykry, tem się go starają splacić prędzej.

Ale niesmak silniejszy był od tego rozumowania, albowiem jakiś głos szeptał Polanieckiemu, że tym razem nie chodziło tylko o dobre wychowanie, ale trochę o litość nad zmęczoną kobietą. Odczuwał przytem, że, postępując tak obcesowo, czyni zadość swej pozie, nie swemu sercu, ani swym wrodzonym instynktom. Był zły także i na pannę Pławicką, tem bardziej, że mu się podobała. Jak w tej uśpionej wiosce, jak w tej nocy księżycowej, tak i w tej pannie znalazł coś swojskiego, czego napróżno szukał w kobietach zagranicznych, a co wzruszało go więcej, niż się spodziewał. Ale ludzie wstydzą się często uczuć bardzo dobrych. Polaniecki

wstydzil się często wzruszeń, więc postanowił być nieublaganym i przycisnąć nazajutrz starego Pławickiego z pominięciem wszelkich względów.

Tymczasem chłopak zaprowadził go do sypialni. Połaniecki odprawił go zaraz i został sam. Był to ten sam pokój, który mu dawano, gdy za życia pierwszej żony pana Pławickiego przyjeżdżał do nich z matką. Więc wspomnienia opadły go znowu. Okna wychodziły na ogród, za którym był staw; w wodzie przeglądał się księżyc — i staw widać było lepiej, niż za dawnych czasów, bo wówczas przesłaniał go wielki stary jesion, który musiała złamać burza, gdyż w tem miejscu sterczał tylko pień ze świeżem odłamaniem na wierzchu. Światło księżyca zdawało się zbierać na tem odłamaniu, które też błyszczało bardzo mocno. Wszystko to razem czyniło wrażenie ogromnego spokoju. Połaniecki, który żył w mieście wśród zajęć handlowych, zatem w ustawicznym natężeniu władz umysłowych i fizycznych, a zarazem w ustawicznym niepokoju, mimowoli odczuwał ten nastrój otaczającej go wsi, tak, jak się odczuwa ciepłą kąpiel po wielkim trudzie. Wnikała w niego ulga. Próbował myśleć o swoich sprawach, o tem, jak się one obróca, czy dadzą straty, czy zyski, wreszcie o swoim wspólniku Bigielu

i o tem, jak on załatwi rozmaite interesa podczas jego niebytności — ale nie mógł. Natomiast zaczął myśleć o pannie Pławickiej. Osoba jej, jakkolwiek uczyniła na nim dobre wrażenie, była mu obojętną, choćby dlatego, że dopiero co ją poznał. Ale zajęła go, jako typ. Miał lat trzydzieści kilka, był zatem w wieku, w którym instynkt z siłą niemal nieubłaganą popycha mężczyznę do założenia ogniska domowego, pojęcia żony i stworzenia rodziny. Największy pesymizm jest bezsilny wobec tego instynktu; nie broni od niego ani artyzm, ani żadne zadania życiowe. Skutkiem tego żenią się mizantropi, pomimo swej filozofii, artyści, pomimo sztuki, jak również wszyscy tacy ludzie, którzy twierdzą, że swoim celom oddają nie pół, ale całą duszę. Wyjątki potwierdzają zasadę, że ogół nie może żyć konwencyjonalnem kłamstwem i płynąć przeciw prądom natury. Po większej części nie żenią się tylko ci, którym do małżeństwa stanęła na przeszkodzie ta sama siła, która małżeństwa tworzy, to jest ci, których miłość zawiodła. Stąd starokawalerstwo, jeśli nie zawsze, to najczęściej — jest ukrytą tragedją.

Połaniecki nie był ani mizantropem, ani też człowiekiem, wygłaszającym przeciwne małżeństwu teorye. Przeciwnie: chciał się ożenić i był przekonany, że powinien to uczynić. Czuł, że

przyszedł na niego czas, więc szukał naokół siebie kobiety. Z tego wypływało to ogromne zajęcie, jakie budziły w nim kobiety, a zwłaszcza panny. Jakkolwiek spędził kilka lat we Francyi i Belgii, nie szukał miłości u mężatek, chyba u nazbyt łatwych. Był to człowiek żywy i czynny, który utrzymywał, że romansować z mężatkami mogą tylko próżniacy, i że wogóle obleganie cudzych żon jest możliwe tam, gdzie ludzie mają bardzo wiele pieniędzy, mało uczciwości, a nie do roboty, zatem w społeczeństwach, gdzie istnieje cała klasa oddawna zubożona i pogrążona w wytwornej bezczynności towarzyskiego, a zarazem i szelmowskiego życia. On sam był istotnie bardzo zajęty, że zaś kochać chciał po to, by się ożenić, więc tylko panny budziły w nim zarówno psychiczne, jak i fizyczne zaciekawienie. Gdy spotykał jaką na swej drodze, przedewszystkiem i od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: «Czyby nie ta?» — albo przynajmniej: «Czyby nie taka?» Obecnie myśli jego kręciły się w podobny sposób koło panny Plawickiej. Poprzednio słyszał o niej wiele od jej krewnej, zamieszkałej w Warszawie — i słyszał rzeczy dobre, a nawet wzruszające. Obecnie jej cicha, łagodna twarz stawiała mu przed oczyma. Przypomniał sobie jej ręce, bardzo ładne, o długich palcach, choć nieco opa-

lone; jej ciemno-niebieskie oczy, oraz małe, czarne znamię, które miała nad ustami. Podobał mu się także jej głos. Przytem, jakkolwiek powtarzał sobie przyrzeczenie, że nie poczyni żadnych ustępstw i musi swoje odebrać, jednakże zły był na los, który przyprowadził go do Krzemienia, jako wierzyciela. Mówiąc do siebie językiem kupieckim, powtarzał w duchu: Gatunek jest dobry — ale nie będę «reflektował», bom nie po to przyjechał.

Jednakże «reflektował», i to tak dalece, że rozebrawszy się i położywszy, długi czas nie mógł zasnąć. Koguty poczęły piąć, szyby blednieć i zielenieć, on zaś widział jeszcze pod zamkniętymi powiekami pogodne czoło panny Plawickiej, jej znamię nad ustami i ręce, nalewającą herbatę. Potem, gdy już sen począł go moryć, zdawało mu się, że trzyma te ręce w swoich i przyciąga je ku sobie. Nazajutrz zbudził się późno i, przypomniawszy sobie pannę Plawicką, pomyślał: «Aha! to ona tak wygląda!»

II.

Właściwie zbudził go chłopak, który przyniósł mu kawę i wziął do czyszczenia rzeczy.

Gdy z niemi powrócił, Polaniecki spytał go, czy niema w domu zwyczaju schodzić się w jadalnym pokoju na śniadanie.

— Nie, — odpowiedział chłopak — bo panienka rano wstaje, a starszy pan śpi do późna.

— A panienka wstała?

— Panienka w kościele.

— Prawda: dziś niedziela. A panienka nie jeździ ze starszym panem?

— Nie, starszy pan jeździ na sumę, a potem idzie do kanonika, więc panienka woli jeździć na ranną mszę.

— Co państwo w niedzielę porabiają?

— Siedzą w domu. Na obiad przyjeżdża pan Gątowski.

Tego Gątowskiego Polaniecki znalazł małym chłopcem. Za owych czasów przeżywał go «niedźwiadkiem», był to bowiem chłopak tłusty, niezgrabny i mrukliwy. Służący objaśnił, że ojciec pana Gątowskiego umarł od lat sześciu, i młody sam gospodarzy w sąsiednim Jalbrzykowie.

— I przyjeżdża tu co niedziela? — spytał Polaniecki.

— Czasem i w powszedni dzień wieczorem. «Konkurent!» — pomyślał Polaniecki.

Po chwili spytał:

— Starszy pan wstał już?

— Musiał pan dzwonić, bo Józef poszedł do pana.

— Jaki Józef?

— Kamerdyner.

— A ty czem jesteś?

— Ja jemtu do pomocy.

— Idźże się spytać, kiedy można będzie widzieć się z panem.

Chłopak wyszedł i po chwili wrócił.

— Starszy pan kazał powiedzieć, że jak się ubierze, to poprosi.

— Dobrze.

Chłopak wyszedł; Polaniecki został sam i czekał, a raczej nudził się dość długo. Wreszcie zaczęło mu braknąć cierpliwości, i chciał już wyjść do ogrodu, gdy ów Józef przyszedł mu oznajmić, że starszy pan prosi.

I przez sięn poprowadził go do pokoju, leżącego z drugiej strony domu. Polaniecki wszedł i w pierwszej minucie nie poznał pana Plawickiego. Pamiętał go mężczyzną w sile wieku i nader pięknym; obecnie stał przed nim człowiek stary, z twarzą pomarszczoną, jak pieczone jabłko, której małe, uczernione wąsiki próżno usiływały nadać pozór młodości. Tak one, jak również czarna, zaczesana z boku czupryna, oznaaczały tylko niewygasłe dotąd pretensye.

Lecz pan Plawicki otworzył ramiona:

— Stach! Jak się masz, drogi chlopcze? Chodź tu!

I, wskazawszy na swą białą kamizelkę, objął głowę Polanieckiego i przycisnął ją do piersi, która poruszała się szybkim oddechem.

Uścisk trwał przez czas długi, a nawet dla Polanieckiego mocno za długi; wreszcie pan Pławicki rzekł:

— Niechże ci się przypatrzę. Wykapana Anna, wykapaną Anna! Moja biedna, kochana Anna!

I pan Pławicki zaszlochął, następnie otarł serdecznym palcem prawą powiekę, na której zresztą nie było lzy — i powtórzył:

— Wykapana Anna!... Twoja matka była zawsze dla mnie najlepszą i najżyczliwszą krewną.

Polaniecki stał przed nim zmieszany, oraz nieco odurzony i przyjęciem, jakiego się nie spodziewał, i zapachem fiksatuaru, pudru i różnych perfum, któremi pachnęły twarz, wąsy i kamizelka pana Pławickiego.

— Jak się wujaszek ma? — spytał wreszcie, sądząc, że ten tytuł, jaki zresztą dawał w latach dziecinnych panu Pławickiemu, będzie najlepiej odpowiadał uroczystemu nastrojowi przyjęcia.

— Jak się mam? — powtórzył pan Pławicki.

wicki — niedlugo mi już! niedlugo! Ale właśnie dlatego witam cię tem serdeczniej w moim domu... po ojcowsku!... I jeśli błogosławieństwo człowieka, stojącego nad grobem, a zarazem najstarszego członka rodziny, ma w twoich oczach jaką cenę, to ci je daję.

I, chwyciwszy powtórnie za głowę Połanieckiego, ucałował ją i przeżegnał. Młody człowiek zmieszał się jeszcze bardziej, i na twarzy jego odbił się przymus. Matka jego była krewną i przyjaciółką pierwszej żony pana Pławickiego. Z nim samym nie łączyły jej nigdy, o ile pamiętał, serdeczniejsze stosunki, więc ta uroczystość przyjęcia, do której jednak mimowoli musiał się dostrajać, była mu ogromnie przykra. Sam Połaniecki nie miał najmniejszych uczuć rodzinnych dla pana Pławickiego, więc myślał w duchu: «Ta malpa błogosławi mnie, zamiast gadać o pieniądzach» — i chwyciła go pewna złość, która mogła mu być pomocną do postawienia jasno rzeczy. Tymczasem pan Pławicki rzekł:

— Siadaj teraz, drogi chłopcze, i bądź jak u siebie.

Połaniecki siadł i zaczął mówić:

— Kochany wuju, bardzo mi jest przyjemnie wuja odwiedzić; byłbym to pewnie zrobił, nawet nie mając interesu, ale wuj wie, że przy-

jechałem także w tej sprawie, którą moja matka...

Tu pan Pławicki położył mu nagle rękę na kolanie:

— A kawę pileś? — spytał.

— Pilem — odpowiedział zbity z tropu Polaniecki.

— Bo to Marynia rano wyjeżdża do kościoła. Przepraszam cię także, żem ci nie odstąpił mego pokoju, ale ja, stary, przyzwyczaiłem się tu spać. To moje gniazdo...

To rzekłszy, okrągłym ruchem ręki wskazał na pokój.

Polaniecki powiódł mimowoli oczyma za ruchem ręki. Niegdyś ten pokój był dla niego ustawiczną pokusą, wisiała w nim bowiem broń pana Pławickiego. Od dawnych czasów zmieniło się w nim tylko odbicie, które teraz było różowe, przedstawiające w nieskończonej ilości kwadratów młode pasterki, ubrane à la Watteau i łowiące ryby na wędkę. W oknie stała toaleta, biało nakryta, z lustrem w srebrnych ramach, zastawiona mnóstwem słoików, pudełek, flaszeczek, szczotek, grzebieni, pilniczków do paznogci i t. d. Obok, w kącie — fajczarnia z bursztynowymi głowami cybuchów; na ścianie, nad kanapką — dziecza głowa, pod nią dwie dubeltówki, torba, trąbki, i wogóle przybory

myśliwskie; w głębi stół z papierami, dębowe półeczki z pewną ilością książek; wszędy pełno gratów, mniej więcej potrzebnych i ładnych, zwiastujących jednak, że mieszkaniec tego pokoju jest osiłą, naokoło której obraca się wszystko w domu, i że sam o siebie dba wielce. Jednym słowem, był to pokój starego kawalera i egoisty, pełnego drobiazgowej troskliwości o swą wygodę i pełnego pretensyi. Polaniecki nie potrzebował też wiele domyślności, by odgadnąć, że pan Pławicki za nic i dla nikogo nie odstąpiłby swego pokoju.

Lecz gościnny gospodarz pytał dalej:

— Było ci tam dosyć wygodnie? Jak spędziłeś noc?

— Dziękuję, doskonale: wstałem późno.

— Z tydzień jaki przecie u mnie zabawisz.

Polaniecki, który był bardzo żywy, podskoczył na krześle.

— Chyba wuj wie, że ja mam interesa w Warszawie i wspólnika, który sam jeden pilnuje teraz całej roboty. Dlatego muszę wyjechać jak najwcześniej i pragnąłbym dziś jeszcze załatwić sprawę, dla której przyjechałem.

Na to pan Pławicki odezwał się z pewną serdeczną powagą:

— Nie, mój chłopcze. Dziś jest niedziela, a oprócz tego uczucia rodzinne powinny iść

przed interesami. Dziś witam cię i przyjmuję, jako krewnego — jutro, jeśli chcesz, wystąpisz jako wierzyciel. Tak jest. Dziś przyjechał do mnie mój Stach, syn mojej Anny! Do jutra! Tak być powinno, Stachu. Mówi ci starszy krewny, który cię kocha i dla którego powinienes to zrobić...

Połaniecki zmarszczył się nieco, ale po chwili odrzekł:

— Niechże będzie do jutra.

— Teraz przemówiła przez ciebie Anna...
Czy palisz fajkę?

— Nie. Palę tylko papierosy.

— Wierzaj mi, że źle robisz. Ale mam dla gości i papierosy.

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu przed gankiem.

— To Marynia przyjechała z rannej mszy — rzekł pan Pławicki.

Połaniecki, spojrzawszy w okno, dojrzał różową panienkę w słomianym kapeluszu, wysiadającą z powoziku.

— Poznałeś Marynię? — spytał pan Pławicki.

— Miałem przyjemność... wczoraj.

— Drogie dziecko! Nie potrzebuję ci mówić, że żyję tylko dla niej...

W tej chwili uchyliły się drzwi, i młody głos spytał:

— Można?

— Można, można: jest tu Stach! — odpowiedział pan Plawicki.

Marynia weszła szybko z kapeluszem, przewieszonym na wstążkach przez ramię, i uściskawszy ojca, podała rękę Polanieckiemu. W różowej, perkalowej sukni wyglądała nadzwyczaj zgrabna i ładna. Było coś w niej z nastroju niedzielnego, a przytem z rzeźwości poranku, który był pogodny i jasny. Włosy miała nieco roztargane przez kapelusz, policzki zarumienione — młodość biła od niej. Polanieckiemu wydała się dziś i weselsza, i ładniejsza, niż była wczoraj.

— Suma będzie dziś trochę później, — rzekła do ojca — bo kanonik zaraz po rannej mszy pojechał do młyna dysponować Siatkowską. Ona bardzo źle. Ma papa jeszcze z pół godziny czasu.

— Dobrze — odrzekł Plawicki. — Przez ten czas poznacie się bliżej ze Stachem Polanieckim. Mówię ci: wykapana Anna! Ale tyś jej nigdy nie widziała. Pamiętaj też, Maryniu, że on jutro, jeśli zechce, będzie naszym wierzycielem, ale dziś to tylko krewny i gość.

— Dobrze — odpowiedziała panna: — będziemy mieli wesołą niedzielę.

— Pani tak późno poszła spać wczoraj, — rzekł Polaniecki — a dziś była na rannej mszy!

A ona odrzekła wesolo:

— Na rannej mszy bywam ja i kucharz, żebyśmy mieli czas potem pomyśleć o obiedzie.

— Zapomniałem wczoraj powiedzieć, — rzekł Polaniecki — że przywożę pani ukłony od pani Emilii Chwastowskiej.

— Nie widziałam Emilki już półtora roku, ale pisujemy do siebie dość często. Ona ma wyjechać do Reichenhall, dla swojej małej.

— Była na wyjeździe.

— A mała jak się ma?

— Na swoje dwanaście lat wyrosła nad miarę i bardzo anemiczna. Nie zdaje się, żeby była bardzo zdrowa.

— Pan często bywa u Emilki?

— Dosyć. To prawie jedyna moja znajomość w Warszawie. I przytem bardzo lubię panią Emilię.

— Powiedz mi, mój chłopcze — spytał pan Pławicki, biorąc ze stołu parę świeżych rękawiczek i wkładając je do kieszeni na piersiach: — czem ty się właściwie zajmujesz w Warszawie?

— Ja jestem tem, co nazywają «aferzystą». Mam dom komisowo-handlowy na spółkę z niejakim Bigielem. Spekuluję na zbożu, na cukrze, czasem na lasach i na czem się da.

— Bo ja slyszalem, że ty jesteś inżynier?

— Jestem technik. Ale nie mogłem po powrocie znaleźć zajęcia przy żadnej fabryce i puściłem się na handel, tembardziej, że miałem i o tem jakie takie pojęcie i że we wspólnie byłem już od lat czterech, choć interesa prowadził sam Bigiel. Ale właściwym moim zawodem jest farbiarstwo.

— Jak powiadasz? — spytał pan Plawicki.

— Farbiarstwo.

— Teraz takie czasy, że trzeba się do wszystkiego brać — rzekł z godnością pan Plawicki. — Nie ja ci to będę brał za złe. Byle zachować dawne uczciwe tradycje rodzinne — żadne zajęcia nie hańbi człowieka.

A Polaniecki, któremu na widok panny powrócił dobry humor i którego rozbawiła nagle «grandezza» pana Plawickiego, pokazał swoje zdrowe zęby w uśmiechu i odpowiedział:

— To chwala Bogu.

Panna Marynia uśmiechnęła się również i rzekła:

— Emilka, która także pana bardzo lubi, pisała mi niegdyś, że pan doskonale prowadzi swoje interesa.

— Bo tu tylko z Żydami trudno, a zresztą konkurencja łatwa. Ale i z Żydami, byle nie wydawać manifestów antysemitycznych i spokojnie

swoje robić, można trafić też do ładu. Co do pani Emilii jednak, ona się tyle zna na interesach, ile jej mała Litka.

— Tak, ona nigdy nie była praktyczna. Żeby nie brat męża, pan Teofil Chwastowski, byłaby straciła cały majątek. Ale pan Teofil bardzo Litkę kocha.

— Kto Litki nie kocha? Ja pierwszy przepadam za nią. To takie dziwne dziecko i takie kochane. Mówię pani, że mam do niej zupełną słabość.

A panna Marynia spojrzała uważniej na jego szczerą, żywą twarz i pomyślała:

— Musi być trochę raptus, ale ma dobre serce.

Pan Pławicki zauważył tymczasem, że czas na sumę, i począł się żegnać z panną Marynią tak, jakby wyjeżdżał w kilkomiesięczną podróż, następnie uczynił jej na głowie znak krzyża i wziął kapelusz. Paniienka uścisnęła rękę Polanieckiego żywiej, niż przy porannem powitaniu, ten zaś, siadając do powoziku, powtarzał sobie w duchu:

— O, mocno ładna! mocno sympatyczna!...

Za aleją, którą Polaniecki przyjechał dnia wczorajszego, powozik wytoczył się na drogę, gdzieś tylko wysadzoną staremi i popróchniałemi brzoźami, stojącemi w nierównych

odstępach. Po jednej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po drugiej jeden ogromny lan żyta, z ocieźzałymi już i pochylonymi kłosami, który zdawał się spać w spokojnem powietrzu i w pełnem świetle słonecznem. Między brzożami przelatowały przed powozem sroki i dudki. W dali widać było idące ścieżkami przez płową toń zbóż i zanurzone w niej po pachy, dziewczki wiejskie, w czerwonych chustkach na głowie, podobne do kwitnących maków.

— Dobre żyto — rzekł Polaniecki.

— Niezle. Robi się, co w ludzkich siłach, a co Bóg da, to da. Jesteś młody, mój drogi, więc dam ci jedną przestrogę, która ci się w przyszłości przyda. Zrób zawsze, co do ciebie należy, a resztę zdaj na Pana Boga. On najlepiej wie, czego nam potrzeba. Urodzaj tego roku będzie dobry — i wiedziałem to z góry, bo jak mnie ma Bóg czem dotknąć, to mi zsyła znak.

— Co takiego? — spytał ze zdziwieniem Polaniecki.

— Za fajczarnią — nie wiem, czy uważałeś, gdzie ona stoi — ile razy ma być coś złego, tyle razy pokazuje mi się mysz przez kilka dni z rzędu.

— Musi być dziura w podłodze.

— Niema dziury — rzekł, przymykając oczy i potrząsając tajemniczo głową, pan Plawicki.

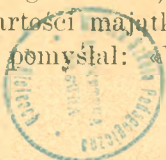
— A gdyby kota sprowadzić?

— Nie sprowadzę, bo jeśli taka jest wola Boża, żeby ta mysz była dla mnie znakiem i ostrzeżeniem, to nie chcę iść przeciw tej woli. Otóż tego roku nic mi się nie pokazało. Mówiłem to Maryni... Może Bóg zechce w jakikolwiek sposób okazać, że czuwa nad naszą rodziną. Sluchaj, mój drogi: wiem, że ludzie gadają, że jesteśmy zrujnowani, a przynajmniej w bardzo złych interesach. Otóż sam osądz: Krzemień, wraz ze Skokami, z Magierówką i Suchocinem, ma około dwustu pięćdziesięciu włók. Jest tam około sześćdziesięciu tysięcy rubli Towarzystwa — i nie więcej, i około stu tysięcy długów hipotecznych, wraz z twoją sumą. Więc mamy już sto sześćdziesiąt tysięcy. Liczmy teraz tylko po trzy tysiące rubli za włókę, to uczyni siedmset pięćdziesiąt tysięcy — razem: dziewięćset dziesięć tysięcy...

— Jakto? — przerwał ze zdumieniem Polaniecki: — to wuj liczysz długi do swego majątku?

— Żeby majątek był nic nie wart, toby mi nikt grosza na niego nie dał, więc muszę doliczyć dług do wartości majątku...

A Polaniecki pomyślał: «Waryat, z którym



niema co gadać» — i słuchał dalej w milczeniu.

Pan Pławicki zaś mówił:

— Magierówkę chcę rozparcelować. Młyn sprzedam, a w Skokach i Suchocinie mam margiel — i wiesz, na ile go obliczyłem? Na dwa miliony rubli.

— Ma wuj kupca?

— Dwa lata temu przyjechał tu niejaki Schaum i rozpatrywał pola. Wprawdzie pojechał, nie nie wspominając o interesie, ale jestem pewny, że wróci. Inaczej, byłaby mi się pokazała mysz za fajczarnią...

— Ha! niechże wraca.

— Wiesz, co mi także przychodzi do głowy? Skoro jesteś «aferzystą», weź się ty do tego interesu. Znajdź sobie tylko współników.

— To za gruba dla mnie sprawa.

— Więc znajdź mi kupca: dam ci dziesięć procent od zysków.

— Co panna Marya myśli o tym marglu?

— Marynia, jak to Marynia. Złote dziecko, ale dziecko! I ona jednak wierzy, że Opatrzność czuwa nad naszą rodziną.

— Słyszałem to od niej wczoraj.

Tymczasem zaczęli się zbliżać do Watorów i do leżącego na wzgórzu wśród lip kościoła. Pod wzgórzem stało kilkanaście chlopskich dra-

biniastych wózków, oraz kilka bryczek i powozików.

Pan Pławicki przeżegnał się.

— To nasz kościółek, który musisz pamiętać. Wszyscy Pławiccy tu leżą, i ja wkrótce będę leżał. Nigdzie nie modlę się lepiej, niż tu.

— Widzę, że będzie sporo ludzi — rzekł Polaniecki.

— Jest bryczka Gąrowskiego, kocz Zazimskich, powozik Jamiszów i kilka innych. Jamiszów musisz także pamiętać. Ona — niepospolita kobieta; on — niby wielki agronom i radca, ale safandula, który nie rozumiał jej nigdy.

W tej chwili poczęto dzwonić na wieżycze kościelnej.

— Spostrzegli nas i dzwonią — rzekł pan Pławicki: — suma zaraz wyjdzie... Zaprowadzę cię po mszy na grób mojej pierwszej żony; pomódl się za nią, bo to przecie twoja ciotka... Zaczyna była kobieta, świeć jej, Panie!

Tu pan Pławicki podniósł znów palec, by obetrzeć prawe oko. Polaniecki zaś spytał, chcąc zmienić nastrój rozmowy:

— A pani Jamiszowa była niegdyś bardzo piękna? Czy to ta sama?

Twarz pana Pławickiego rozjaśniła się nagle. Na chwilę wysunął koniec języka z uczerenio-

nych wąsików, następnie zaczął klepać Polanieckiego po łydce i rzekł:

— Warta jeszcze grzechu, warta, warta!....

Tymczasem zajechali i, obszedłszy kościół, weszli bokiem do zakrystyi, nie chcąc przeciskać się przez tłum. Panie siedziały w bocznych ławkach, tuż przed stallami. Pan Pławicki zajął ławkę kolatorską, w której byli tylko państwo Jamiszowie: on, człowiek, wyglądający bardzo staro, z twarzą inteligentną; ona, kobieta dobrze pod sześćdziesiąt, ubrana niemal tak, jak panna Marynia, to jest w suknię perkalową i słomiany kapelusz. Pełne grzeczności ukłony, jakie jej począł składać pan Pławicki, i uprzejmy uśmiech, z jakim mu je oddawała, wskazywały, że panują między nimi blizkie i oparte na wzajemnej adoracyi stosunki. Po chwili pani, podniósłszy lornetkę do oczu, zaczęła przyglądać się Polanieckiemu, nie rozumiejąc widocznie, kto mógł panu Pławickiemu towarzyszyć. W tylnej ławce za nimi, jeden z sąsiadów, korzystając z tego, że msza jeszcze nie rozpoczęta, kończył jakieś opowiadanie o polowaniu, powtórzył bowiem kilkakrotnie drugiemu sąsiadowi: «Moje psy dobrze goniom...»; potem obaj przerwali tę rozmowę i zaczęli obmawiać Pławickiego i panią Jamiszową tak głośno, że każde słowo dochodziło do uszu Polanieckiego.

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościółka pamięć Polanieckiego znów wróciła do lat dziecinnych, gdy bywał tu z matką. Mimowoli rodziło się w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nie się nie zmienia, prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy, i kto przyjeżdża po długiej niebytności, z daleka, temu się zdaje, że to wszystko, co poprzednio widział, było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek, oraz kwiatów na głowach dziewczek; tak samo pachnęło kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkimi. Za jednym z okien rosła ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i, przesłaniając je, napelniał kościół zielonawem światłem; tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch, lub wydostawała się trawą z pod ziemi; ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Polaniecki, który chlubił się tem, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby niewylonioną jeszcze dostatecznie ze wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się niemi mimowoli

ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludzom namiętnością życia a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają, jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg.

Sam, wychowany za granicą, nie bardzo weń wierzył, przynajmniej nie był go pewny. Czuł on w sobie, jak wszyscy dzisiejsi, najnowsi ludzie, niepohamowany wstręt do materjalizmu, ale wyjścia jeszcze nie znalazł, i co więcej, zdawało mu się, że go nie szuka. Był nieświadomym pesymistą, jak ci, którzy szukają czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odurzał się zajęciami, do których przywykł, i tylko w chwilach wielkiego przyływu owego pesymizmu pytał siebie: na co to wszystko? na co się zdało robić majątek, pracować, żenić się, płodzić dzieci — skoro wszystko kończy się przepaścią? Ale to było czasem i nie zmieniało się w stałą zasadę. Ratowała go od niej młodość — nie pierwsza — ale też jeszcze nie gasnąca, pewna tęgość duchowa i fizyczna, samozachowawczy instynkt, przyzwyczajenie do pracy, żywość charakteru i wreszcie ta siła elementarna, która popycha mężczyznę w objęcia kobiety. I teraz więc od wspomnień dziecińczych, od myśli o śmierci, od

zwątpienia o celowości małżeństwa, przeszedł do myśli właśnie o tem, że tego, co w nim jest lepsze, nie ma komu oddać, a dalej przeszedł do panny Maryni Plawickiej, której perkalowa suknia, pokrywająca młode i wysmukłe ciało, nie schodziła mu z oczu. Przypomnił sobie, że gdy wyjeżdżał, pani Emilia Chwastowska, wielka przyjaciółka jego i panny Maryni, powiedziała mu, śmiejąc się: «Jeśli pan, będąc w Krzemieniu, nie zakocha się w Maryni, to zamknę przed panem drzwi». On jej odpowiedział z wielką fantazją, że jedzie tylko wydusić pieniądze, nie zakochać się, ale to nie była prawda. Gdyby w Krzemieniu nie było panny Plawickiej, byłby zapewne dusił pana Plawickiego w dalszym ciągu listownie, albo sposobami prawnymi. Myślał też o niej i o tem, jak ona wygląda, już w drodze, i był zły, że jedzie także po pieniądze. Wmawiając w siebie wielką stanowczość w takich razach, postanowił przedewszystkiem dochodzić swej należności i raczej gotów był przesadzić, niż nie dosadzić w terminie. Obiecywał to sobie, zwłaszcza pierwszego wieczoru, gdyż Marynia, jakkolwiek podobala mu się dosyć, nie uczyniła na nim tak wielkiego wrażenia, jak myślał, a raczej uczyniła inne. Ale dzisiejszego rana bardzo wpadła mu w oko. «Sama jest, jak ra-

nek — mówił sobie — ładna, i wie, że ładna. Kobiety zawsze to wiedzą!»

To ostatnie odkrycie usposobiło go dość niecierpliwie, albowiem pragnął wrócić jak najprędzej do Krzemienia, by dalej obserwować kobiety na tym okazie, który w Krzemieniu mieszkał. Jakoż msza skończyła się niebawem, pan Pławicki wyszedł zaraz po przeżegnaniu, miał bowiem jeszcze przed sobą dwa obowiązki: pierwszy, pomodlenia się na grobach obu żon, które leżały pod kościołem, drugi — odprowadzenia pani Jamiszowej do powozu; że zaś żadnego nie chciał opuścić, więc musiał się liczyć z czasem. Polaniecki wyszedł z nim razem, i wkrótce znaleźli się przed płytami kamiennymi, wprawionymi tuż obok siebie w ścianę kościelną. Pan Pławicki klęknął i modlił się przez chwilę w skupieniu, potem, wstawszy, otarł lzy, które naprawdę zawisły mu na rzesach, a wreszcie, wzięwszy Polanieckiego pod ramię, rzekł:

— Tak! straciłem obie — i żyć muszę.

Tymczasem przed kościelnymi drzwiami ukazała się pani Jamiszowa w towarzystwie męża, tych dwóch sąsiadów, którzy ją obmawiali przede mszą, i młodego pana Gątowskiego. Na jej widok pan Pławicki pochylił się do ucha Polanieckiego i rzekł:

— Jak będzie wsiadała do powozu, uważ, jaką ma jeszcze nogę.

Po chwili złączyli się obaj z towarzystwem; rozpoczęły się ukłony i powitania. Pan Pławicki przedstawił Polanieckiego, potem zwracając się do pani Jamiszowej, dodał z uśmiechem człowieka przekonanego, że mówi coś, na co nie byle ktoby się zdobył:

— Mój krewny, który przyjechał wujaszka uścisnąć i... przycisnąć...

— Pozwalamy tylko na pierwsze, inaczej będzie z nami sprawa — odrzekła dama.

— Ale Krzemień to twarda rzecz — mówił dalej Pławicki: — połamię sobie na nim zęby, choć młody.

Pani Jamiszowa przymknęła oczy.

— Ta łatwość, — rzekła — z jaką pan temi iskrami sypie... c'est inoui! Jak dziś zdrowie pana?

— W tej chwili czuję się zdrow i młody.

— A Marynia?

— Była na rannej mszy. Czekamy państwa o piątej. Moja mała gosposia łamie sobie tam główkę nad podwieczorkiem. Sliczny dzień...

— Więc przyjedziemy, jeśli moja newralgia mi pozwoli... i jeśli pan mąż pozwoli.

— Sąsiedzie? jakże? — spytał pan Pławicki.

— Zawsze chętnie, owszem! — odpowiedział zgnębionym głosem sąsiad.

— Zatem, au revoir!

— Au revoir! — odpowiedziała pani.

I, zwróciwszy się do Połanieckiego, wyciągnęła do niego rękę:

— Miło mi było poznać pana.

Pan Pławicki podał jej ramię i odprowadził do powoziku. Dwaj sąsiedzi odjechali również. Połaniecki został przez chwilę sam z panem Gątowskim, który przypatrywał mu się dość niechętnie. Połaniecki pamiętał go niezgrabnym chłopakiem, teraz zaś z «niedźwiadka» wyrósł mężczyzna duży i może przyciężki w ruchach, ale raczej przystojny, z bardzo pięknym, jasnym wąsem. Połaniecki nie zaczynał z nim rozmowy, czekając, aż tamten pierwszy się odezwie, lecz ów, zasadziwszy ręce w kieszenie, milczał uparcie.

— Dawne maniere mu zostały — pomyślał Połaniecki.

I z kolei uczuł także niechęć do tego mruka.

Tymczasem pan Pławicki, wróciwszy od powozu Jamiszów, spytał naprzód Połanieckiego: «Uważałeś?» — a potem rzekł:

— No, Gątosiu, pojedziesz swoją bryczką, bo w koczku tylko dwa miejsca.

— Pojadę bryką, bo wiozę psa dla panny Maryi — odpowiedział młody człowiek.

I, skłoniwszy się, odszedł. Po chwili Pławicki

i Połaniecki znaleźli się na drodze do Krzemienia.

— Ten Gątowski to też podobno jakiś powinowaty wuja? — spytał Połaniecki.

— Dziewiąta woda po kisielu. Oni bardzo podupadli. Ten, Adolf, ma jeden folwarczek i pustki w kieszeni.

— Ale w sercu pewnie nie pustki?

Pan Pławicki wyduł usta:

— Tem gorzej dla niego, jeśli mu się coś marzy. Może on i dobry człowiek, ale symplak. Ani to wychowania, ani wykształcenia, ani majątku. Marynia lubi go — raczej: znosi.

— A! znosi?

— Widzisz, jest tak: ja poświęcam się dla niej i siedzę na wsi, ona poświęca się dla mnie i siedzi na wsi. Tu są pustki; pani Jamiszowa jest znacznie od niej starsza, młodzieży wogóle niema, życie nudne, ale co robić? Pamiętaj, mój chłopcze, że życie to szereg poświęceń. Trzeba tę zasadę nosić w sercu i w głowie. Zwłaszcza ci, co należą do uczciwych i trochę widniejszych rodzin, nie powinni o niej zapominać. A Gątowski bywa zawsze u nas w niedzielę na obiedzie — i dziś, jak słyszałeś, wiezie psa.

Umilkli i jechali wolniej po piasku. Sroki przelatywały teraz przed nimi z brzozy na brzozę w stronę Krzemienia. Za powozikiem

jechał na bryczce pan Gątownski, który, rozmyślając o Połanieckim, mówił sobie:

— Jeśli przyjechał ich gnębić, jako wierzyciel, nadkręcę mu karku, jeśli jako konkurent — nadkręcę mu też.

Z dziecinnych lat miał on nieprzyjazne dla Połanieckiego uczucia. Niegdyś spotykali się oni czasem, i wówczas Połaniecki go wyśmiewał, albo, jako starszy o parę lat, nawet bijał.

Wreszcie przyjechali i w pół godziny później znaleźli się wszyscy, wraz z panną Marynią, w jadalnym pokoju przy stole. Młody psiak, przywieziony przez Gątownskiego, korzystając z przywileju gościa, kręcił się pod stołem, a czasem wspinał się na kolana obecnych z wielkiem zaufaniem i radością, objawianą za pomocą kiwania ogonem.

— To jest Gordon, ceter — mówił Gątownski; — on jest jeszcze głupi, ale to mądre psy i przywiązują się okrutnie.

— Śliczny jest i bardzom panu wdzięczna — odpowiedziała panna Pławicka, patrząc na lśniąco-czarną szersć i żółte piętna nad oczyma psa.

— Zanadto przyjemny — dodał pan Pławicki, pokrywając kolana serwetą.

— Do pola też takie lepsze od zwyczajnych ceterów.

— Pani i poluje? — spytał Połaniecki.

— Nie, nigdy nie miałam do tego ochoty.
A pan?

— A ja czasem. Zresztą żyję w mieście.

— Dużo bywasz? — spytał pan Pławicki.

— Prawie nigdzie. U pani Emilii, u mojego wspólnika Bigiela, u Waskowskiego, który był niegdyś moim profesorem, a który teraz jest dziwakiem — i oto wszystko. Oczywiście, czasem chodzę do ludzi, gdy mam do nich interesa.

— To źle, mój chłopcze. Młody człowiek powinien mieć i utrzymywać dobre stosunki towarzyskie, zwłaszcza, gdy ma do nich prawo. Kto się potrzebuje piąć, to co innego, ale ty, jako Połaniecki, możesz wszędzie bywać. Ja ci to powiadam. Z Marynią wiecznie mam te same historie. Dwa lata temu, gdy skończyła ośmnaście lat, zawiozłem ją w zimie do Warszawy. Rozumiesz, że tego się darmo nie robi i że to wymagało pewnych ofiar z mojej strony. No i cóż? Siedziała po całych dniach u pani Emilii i czytywała książki. Dzikus mi się urodził i dzikus pozostanie: możecie sobie podać ręce.

— Podajmy sobie ręce! — zawolał wesolo Połaniecki.

A ona odrzekła, śmiejąc się:

— Kiedy, sumiennie, nie mogę, bo to niezupełnie tak było: czytywałam książki z Emilką,

prawda, ale bywaliśmy z papą dużo, i wytańczyłam się na całe życie.

— Niech się pani nie zarzeka.

— Nie! ja się nie zarzekam, tylko nie tęsknię.

— To widocznie nie wywiozła pani wspomnień.

— Widocznie. Została mi tylko pamięć, ale to jest co innego.

— Tego ja, pani, nie rozumiem.

— Bo pamięć to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu schodzi, żeby coś wydobyć.

Tu panna Marynia przestraszyła się nieco własną odwagą, z jaką zapuściła się w filozoficzny wywód nad różnicą pamięci i wspomnień, skutkiem czego zaczerwieniła się dość mocno; Polaniecki zaś pomyślał:

— I nieglupia, i śliczna.

Głośno zaś rzekł:

— Mnie to do głowy nie przyszło, a to takie łatwe.

I objął ją oczyma, pełnemi sympatyi. Była rzeczywiście bardzo ładna, bo uśmiechnięta, nieco zmieszana pochwałą, a zarazem uradowana nią szczerze. Zarumieniła się jeszcze więcej, gdy śmiały młody człowiek rzekł:

— Jutro, przed wyjazdem, poproszę o miejsce... choć w składzie.

Ale on mówił to tak wesoło, że nie można się było na niego gniewać, i że panna Marynia odpowiedziała mu nie bez pewnej kokieterii:

— Dobrze, ale i ja wzajemnie...

— W takim razie musiałbym schodzić do składu tak często, że wolę odrazu w nim zamieszkać.

To wydało się panie Pławickiej nieco za śmiało na tak krótką znajomość, ale tymczasem pan Pławicki ozwał się:

— Podoba mi się Połaniecki. Wolę go od Gątosia, który siedzi jak mruk.

— Bo ja umiem mówić tylko o tem, co się da wziąć w rękę — odpowiedział z pewnym smutkiem młody człowiek.

— To weź w rękę widelec — i jedz.

Połaniecki uśmiechnął się, panna Marynia nie, gdyż żal jej się zrobiło Gątowskiego, skutkiem czego skierowała rozmowę na rzeczy, które dadzą się wziąć w rękę.

— Albo kokietka, albo ma dobre serce — pomyślał znów Połaniecki.

Lecz pan Pławicki, który widocznie przypomniawszy sobie ostatni pobyt zimowy w Warszawie, spytał:

— Powiedz mi, Stachu, ty znasz Bukackiego?

— Jakże! To przecie mój bliższy krewny, niż wuja.

— My z całym światem jesteśmy krewni — literalnie z całym światem. Bukacki to był najgorliwszy tancerz Maryni. Obtańcowywał ją na wszystkich wieczorach.

Połaniecki zaczął się znów śmiać.

— I za całą nagrodę poszedł do składu, w kurz. No, ale tego przynajmniej odkurzać nie trzeba, bo taki koło siebie staranny, jak np. wujaszek. To największy elegant w Warszawie. Co on porabia? Administruje świeżem powietrzem, to się znaczy, że jak pogoda, wychodzi lub wyjeżdża na spacer. Przytem jest oryginał, który ma jakieś szczególne zakomórki w głowie. Ten człowiek podpatruje takie rozmaite rzeczy, któremi nikt innyby się nie zajmował. Raz, po jego powrocie z Wenecyi, spotykam go i pytam, co tam widział, a on odpowiada: «Widziałem na Riva degli Schiavoni, jak raz płynęło pół skorupki od jajka i pół cytryny: stykały się, potraçały, oddalały, zbliżały, wreszcie — paf! pół cytryny wpadło w pół jajka i popłynęły razem. Patrz, co to znaczy harmonia!» Oto, czem zajmuje się Bukacki, choć dużo umie i np. na sztuce zna się dobrze.

— A mówią o nim, że bardzo zdolny?

— Może, ale do niczego. Zjada chleb — i na tem koniec. Żeby przynajmniej był przytem wesoly, ale on jest w gruncie rzeczy melan-

cholik. Zapomniałem powiedzieć: i kocha się w pani Emilii.

— Emilka dużo przyjmuje? — spytała panna Marynia.

— Nie. Bywam ja, Waskowski, bywa Bukacki, no i jeszcze Maszko, adwokat, ten, co to kupuje i sprzedaje majątki ziemskie.

— Ona pewnie i nie bardzo może przyjmować, bo dużo czasu musi poświęcać Litce.

— Biedactwo drogie — rzekł Polaniecki — Pan Bógby dał, żeby jej przynajmniej pomógł ten Reichenhall!

I wesola twarz jego pokryła się w jednej chwili prawdziwym smutkiem. Teraz panna Marynia spojrzała na niego oczyma, pełnemi sympatyi — i z kolei pomyślała po raz drugi:

— On jednak musi być naprawdę dobry.

A pan Plawicki zaczął mówić, jakby sam do siebie:

— Maszko, Maszko.... Ten także kręcił się koło Maryni. Ale ona go nie lubiła. Co do majątków, ceny teraz takie, że pożał się Boże.

— Właśnie Maszko twierdzi, że w tych warunkach dobrze jest kupować.

Tymczasem obiad się skończył, i przeszli do salonu na kawę, podczas której pan Plawicki dworował sobie z pana Gątowskiego, co zwykł był czynić w chwilach dobrego humoru i co

młody człowiek znosił cierpliwie ze względu na pannę Marynię, ale z miną, która zdawała się mówić: «Ej, żeby nie ona, wytrząsłbym z ciebie wszystkie kości!» Po kawie panna Marynia siadła do fortepianu, podczas gdy ojciec kładł pasyansa. Grała nieszczególnie, ale jej jasne i spokojne czoło ładnie rysowało się nad pulpitem. Koło piątej pan Plawicki spojrział na zegarek i rzekł:

— Jamiszowie nie przyjeżdżają.

— Przyjadą jeszcze — odpowiedziała Marynia.

Ale on od tej pory ciągle spoglądał na zegarek i co chwila ogłaszał nowinę, że Jamiszowie nie przyjeżdżają. Nakoniec koło szóstej rzekł grobowym głosem:

— Musiało się zdarzyć nieszczęście.

Połaniecki stał w tej chwili koło panny Maryni, która rzekła przyciszonym głosem:

— Oto i bieda! Tam się pewnie nic nie stało, ale papa będzie do wieczora w złym humorze.

Połaniecki chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć, że za to nazajutrz, jak się wyśpi, to będzie w dobrym, ale widząc istotną troskę na twarzy panny, odrzekł:

— To, ile pamiętam, niedaleko: niech pani pośle kogo dowiedzieć się, co się stało.

— Możeby posłać kogo, papo?

Lecz on odpowiedział z goryczą:

— Zbytek łaski. Pojadę sam.

I, zadzwoniwszy na służącego, wydał polecenie, by zaprzęgano. Poczem zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Enfin, na wsi zawsze może się trafić, że ktoś przyjedzie i zastanie moją córkę samą. To nie miasto. Przytem jesteście krewni. Ty, Gątowski, możesz mi być potrzebny, więc bądź łaskaw pojechać ze mną.

Wyraz najwyższej niechęci i niezadowolenia odbił się na twarzy młodego człowieka. Przeciągnął ręką po swej płowej czuprynie i rzekł:

— Nad stawem jest wyciągnięte czółno, którego ogrodnik nie może zepchnąć; obiecałem pannie Maryi, że je zepchnę, tylko ostatniej niedzieli nie puściła mnie, bo lało jak z cebra.

— To skocz i spróbuj, do stawu trzydzieści kroków, za parę minut wrócisz.

Gątowski, rad nierad, wyszedł do ogrodu, pan Pławicki zaś, nie zwracając uwagi na Polanieckiego i córkę, powtarzał, chodząc po pokoju:

— Newralgia w głowie, założyłbym się, że newralgia w głowie; Gątowski, w razie potrzeby, może skoczyć po doktora. Ten safandula, ten radca bez rady, pewnoby nie posłał.

I, potrzebując widocznie wyrzecz na kimś

swój zły humor, dodał, zwracając się do Polanieckiego:

— Nie uwierzysz, co to za cymbał!

— Kto taki?

— Jamisz.

— Ale, papo... — zaczęła panna Marynia.

Lecz pan Pławicki nie dał jej skończyć i rzekł ze wzrastającym złym humorem:

— Wiem! Nie podoba ci się to, że ona okazuje mi trochę przyjaźni i troskliwości. Czytaj sobie artykuły rolnicze pana Jamisza, uwielbiaj go, stawiaj mu posągi, ale pozwól mi mieć moje sympaty.

Tu Polaniecki mógł podziwiać istotną słodycz panny Maryni, gdyż, zamiast się zniecierpliwic, podbiegła do ojca i, podsuwając czoło pod jego uczernione wąsiki, rzekła:

— Zaraz zaprzęgną, zaraz! Może trzeba, żebym i ja pojechała?... A tymczasem niech się brzydki tatuś nie gniewa, bo sobie zaszkodzi.

Pan Pławicki, który rzeczywiście był do niej mocno przywiązany, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Wiem, że w gruncie rzeczy masz dobre serce, ale co tam znów Gątowski robi?

I przez otwarte drzwi ogrodowe począł wołać na młodego człowieka, który też powrócił niebawem zmęczony i rzekł:

— W środku stoi woda i za daleko wyciągnięte; próbowałem i nie mogę.

— To bierz czapkę i ruszajmy, bo słyszę, że zajechali.

W chwilę potem młodzi ludzie zostali sami.

— Papa przywykł do trochę wykwintniejszego towarzystwa, niż jest na wsi, — rzekła panna Marynia — więc dlatego lubi panią Jamiszową, ale i pan Jamisz jest bardzo zacny i rozumny człowiek.

— Widziałem go w kościele. Wydał mi się, jakby przybity.

— Bo naprawdę, to on jest chory, a przytem bardzo zapracowany.

— Tak, jak pani.

— Nie. Pan Jamisz doskonale prowadzi gospodarstwo, a przytem dużo pisuje o rzeczach rolniczych. Naprawdę jest to lumen naszej okolicy. I taki zacny człowiek! Ona również dobra kobieta, tylko dla mnie nieco przesadna.

— Ex-piękność.

— Tak. Przyczynia się też do jej przesady i to ciągle życie na wsi, przez które się trochę rdzewieje. Myślę, że w mieście wszystkie dziwactwa ludzkie i śmieszności ścierają się wzajemnie, a na wsi łatwiej ludzie zmieniają się w oryginałów. Zwolna odwyka się od towarzystwa, zachowuje się jakiś przestarzały sposób

w obejściu z ludźmi i dochodzi się do przesady. My wszyscy musimy się ludziom z wielkich miast wydawać zardzewiali i trochę śmieszni.

— Nie wszyscy. Bynajmniej! — odpowiedział Połaniecki. — Pani na przykład, bynajmniej!

— Więc to przyjdzie z czasem — odpowiedziała z uśmiechem.

— Czas może także przynieść zmiany.

— U nas tak mało się zmienia — i najczęściej na gorsze.

— Ale w życiu panien wogóle zmiany są przewidywane.

— Chciałabym naprzód, byśmy z papą mogli przyjść do ładu z Krzemieniem.

— Więc ojciec i Krzemień to dwa główne, jedyne cele w życiu pani?

— Tak. Ale mało mogę pomódz, bo się mało znam na czemkolwiek.

— Papa, Krzemień — i nic więcej! — powtórzył Połaniecki.

Nastała chwila przerwy w rozmowie, po której panna Marynia spytała Połanieckiego, czy nie zechce pójść do ogrodu. Poszli i wkrótce znaleźli się nad brzegiem stawu. Połaniecki, który za granicą należał do różnych stowarzyszeń sportowych, zepchnął na wodę czołno, któremu Gątowski nie mógł poradzić, ale pokazało się, że jest dziurawe i że nie można niem pływać.

— Oto przykład, co jest moje gospodarstwo! — rzekła, śmiejąc się, panna Marynia. — We wszystkim i wszędzie woda przecieka. I nie wiem, jak się usprawiedliwić, bo ogród i staw należą wyłącznie do mnie. Ale przed spustem każę czólno naprawić.

— Bodaj, że to jeszcze to samo, w którym zakazywano mi jeździć, gdy byłem małym chłopcem.

— Bardzo być może. Czy pan uważał, że rzeczy daleko się mniej zmieniają i dłużej trwają, niż ludzie? Czasem smutno o tem myśleć.

— Miejmy nadzieję, że będziemy trwali dłużej, niż to czólno zmurszałe i nasiąkle, jak gąbka, wodą. Jeżeli to samo, co za moich dziecinnych lat, to nie mam do niego szczęścia. Dawniej nie pozwalano mi na niem jeździć, a teraz skaleczyłem sobie rękę o jakiś spróchniały gwóźdź.

To rzekłszy, wydobyl z kieszeni chustkę i poczał lewą ręką owijać palec prawej. Ale szło mu tak niezgrabnie, że panna Marynia, widząc to, rzekła:

— Nie da pan sobie rady, trzeba pomódz.

I poczęła obwiązywać mu dłoń, którą on kręcił nieznacznie, by jej utrudnić zadanie, bo miło mu było czuć jej delikatne palce przy swoich. Ona spostrzegła, że jej przeszkadza, i spoj-

rzala na niego, ale w chwili, gdy ich oczy się spotkały, pojęła powód i, zarumieniona, schyliła się, chcąc niby wiązać uważniej. Połaniecki uczuł ją blisko, uczuł ciepło, bijące od niej, więc i jemu serce zabiło żywiej.

— Mam bardzo mile wspomnienia — rzekł — z dawnych moich tutejszych wakacyi, ale teraz wywiozę jeszcze milsze. Pani jest bardzo dobra, a przytem zupełnie, jak jaki kwiat, w tym Krzemieniu. Pod słowem, nie przesadzam.

Panna Marynia zrozumiała, że młody człowiek mówi to szczerze, może nieco za śmiało, ale raczej przez wrodzoną żywość, niż dlatego, że został z nią sam na sam; więc nie obrazila się, tylko zaczęła niby gderać żartobliwie swoim miłym, przyciszonym głosem:

— Proszę mi nie mówić grzeczności, bo na-przód źle obwiążę rękę, a powtóre ucieknę.

— To niech pani źle obwiąże rękę, ale zostanie. Taki śliczny wieczór...

Marynia skończyła robotę z chustką, i poszli dalej. Wieczór rzeczywiście zapowiadał się śliczny. Słońce zniżało się, staw, nie marszczony powiewem wiatru, lśnił ogniem i złotem. W dali, za wodą, majaczały spokojnie olszyny; bliższe drzewa rysowały się w zarumienionem już powietrzu bardzo czysto. Na podwórzu, za domem, klekotały bociany.

— Miły Krzemień, bardzo miły! — powtarzał Połaniecki.

— Bardzo — odpowiedziała Marynia.

— To też ja rozumiem pani przywiązanie do tego miejsca. Przytem, jak się w coś wkłada pracę, to to jeszcze bardziej przywiązuje. Rozumiem też, że na wsi można mieć dobre chwile... Ot, jak teraz. Przecie tu jest tak dobrze! W mieście ogarnia czasem zmęczenie, zwłaszcza tych, którzy, jak ja, siedzą po uszy w rachunkach, a przytem są samotni. Bigiel, mój wspólnik, ma żonę i dzieci — to dobrze! Ale ja co? Ja nieraz mówię sobie: Ot, pracuję, i co mi z tego? Dajmy na to, że będę miał trochę pieniędzy — i co dalej? — nic. Jutro zawsze takie samo, jak dziś: robota i robota! Widzi pani, jak się człowiek wciągnie w coś, jak idzie tym pędem, np. robienia pieniędzy, to mu się zdaje, że to cel. Ale przychodzą chwile, w których myślę, że mój oryginał Waskowski ma słuszość, i że nikt, kto się kończy na *ski*, albo na *wicz*, nie potrafi włożyć w to całej duszy i poprzestać na tem wyłącznie. On powiada, że w nas jeszcze za świeża pamięć poprzedniego istnienia, i że wogóle Słowianie mają inną misję. To jest wielki oryginał i filozof i mistyk. Ja się z nim sprzecząm i robię pieniądze, jak mogę, ale teraz naprzykład, gdy tak chodzę z panią po tym ogrodzie,

to, doprawdy, zdaje mi się, że on ma słuszość.

I przez chwilę szli w milczeniu. Światło stało się coraz bardziej rumiane, i twarze mieli jakby zanurzone w czerwonym blasku. Przyjazne, wzajemne uczucia wzrastały w nich z każdą chwilą. Było im z sobą dobrze i spokojnie.

Połaniecki odczuwał to widocznie, gdyż po niejakiem czasie rzekł:

— Co mnie pani Chwastowska mówiła i co jest prawda, to, że do pani ma się w godzinę po poznaniu więcej ufności i bliżej się jest z nią, niż z kim innym w miesiąc. Teraz to sprawdziłem. Zdaje mi się, że panią znam oddawna. Myślę, że tylko osoby niezwykle dobre robią takie wrażenie.

A panna Marynia odpowiedziała z prostotą:

— Emilka kocha mnie bardzo i dlatego mnie chwali. Choćby to była prawda, co ona mówi, to jednak przypuszczam, że nie ze wszystkimi taką być potrafię.

— Wczoraj, rzeczywiście, zrobiła pani na mnie inne wrażenie, ale była pani zmęczona i senna.

— Byłam trochę.

— I czemu pani spać nie poszła! Służący

mógł mi zrobić herbaty, a wreszcie byłoby się i bez tego obeszło.

— Nie, tak mało gościnni nie jesteśmy. Papa mówił, że wypada, by które z nas pana przyjęło. Balam się, że zechce sam czekać, a jemu to szkodzi, więc wolalam go zastąpić.

Polaniecki pomyślał: «Pod tym względem mogłaś być spokojną, ale jesteś poczciwa, że starego egoistę osłaniasz».

Następnie rzekł:

— Przepraszam panią i za to, że zaraz zacząłem mówić o interesach. To kupieckie przyzwyczajenie. Ale też potem sam sobie powiedziałem: «Jesteś taki, owaki!» — i ze wstydem przepraszam.

— Niema za co, bo niema winy. Panu powiedziano, że ja się wszystkim zajmuję, więc pan udał się do mnie.

Zwolna zorze rozpalaly się coraz mocniej. Po niejakiem czasie wrócili ku domowi, ile że wieczór zapowiadał się piękny, więc siedli na werendzie ogrodowej. Polaniecki wszedł na chwilę do salonu, poczem wrócił ze stołeczkiem od nóg i, przyklękawszy, zaczął go podsuwać pod stopy panny Maryni.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... — odpowiedziała, pochylając się i obejmując rękoma suknię. — Jaki pan dobry!... dziękuję bardzo!

A on mówił:

— Ja jestem z natury nieuważny, ale wie pani, kto mnie nauczył trochę troskliwości? Litka. Ją trzeba nadzwyczaj ochraniać, i pani Chwastowska musi o tem pamiętać.

— I ona pamięta, — odrzekła panna Marynia — i wszyscy będziemy jej w tem pomagali. Gdyby była nie wyjechała do Reichenhallu, byłabym ją zaprosiła do nas.

— A jabym przyjechał za Litką bez zaproszenia.

— Więc zapraszam pana w imieniu papy raz na zawsze.

— Niech pani tego lekko nie mówi, bom gotów nadużyć grzeczności. Mnie tu jest bardzo dobrze, więc, ilekroć będzie mi źle w Warszawie, to tu ucieknę — pod opiekę pani...

Teraz Połaniecki wiedział już, że słowa jego przeznaczone są na to, by ich zbliżyć, by nawiązać między nimi sympatyę, i mówił je równie umyślnie, jak szczerze, a mówiąc, patrzył na tę łagodną, młodą twarz, która, oświecona zachodzącym słońcem, wydawała się jeszcze spokojniejsza niż zwykle. Panna Marynia podniosła też na niego swe niebieskie oczy, w których było jakby pytanie: «Czy mówisz to wypadkiem, czy umyślnie?» — i odrzekła nieco ciszej:

— Dobrze.

I oboje umilkli, czując, że istotnie coś łączy się między nimi.

— Dziwi mnie, że papa nie wraca — rzekła wreszcie panna Marynia.

Rzeczywiście słońce zaszło; w czerwonym zmierzchu począł krążyć cichym lotem lelek, a w stawie ozwały się żaby.

Lecz Polaniecki nie odpowiedział na uwagę paniąki i, jakby pogrążony we własnych myślach, zaczął mówić:

— Ja nie analizuję życia, bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, jak na przykład w tej chwili, to czuję, że dobrze; gdy źle, to źle — ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy? jaki wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pesymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach, bez dna, tak jak mój jeden znajomy, asystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... I potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoności... Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego

dojść, na niczem odpocząć... Zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czem usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca, niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... Powtóre, że mi się ochota do roboty psuje, i że robię się niedołągą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury — czy mądrych, czy głupich, mniejsza z tem — ale jest. Żyć trzeba, więc trzeba z życia wydobyć, co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzech nie potrafimy — na to od biedy zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój — i wie pani co? — kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkim podzielić. Potem musi być śmierć — dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy. «That's not my business!» jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa — czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę... Jeśli są dyamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo niema nikogo, ktoby uznał, że one coś warte. Tak samo i człowiek

musi mieć kogoś, ktoby go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta — byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć, bo z tego idzie spokój — i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jako poeta, ale jako człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drugą głowę — to jest i cel. A potem niech będzie co chce. Oto moja filozofia.

Połaniecki twierdził, że mówi jak kupiec, ale mówił także jak człowiek rozmarzony, bo tak podziałał na niego i ten wieczór letni, i obecność tej młodej dziewczyny, która pod tak wielu względami odpowiadała tym wygłoszonym przed chwilą poglądom. Połanieckiemu również musiało to przyjść do głowy, gdyż, zwróciwszy się wprost do niej, rzekł:

— Ja tak ot myślę, ale i z tem się zwykle przed ludźmi nie wygaduję. Dziś mi się jakoś na to zebrało, bo powtarzam, że pani Emilia ma słusność: z panią się jest w jeden dzień bliżej, niż z innymi w rok. Pani musi być bajecznie dobra! Oto, byłbym głupstwo zrobił, gdybym nie przyjechał do Krzemienia. I będę przyjeżdżał tak często, jak pani pozwoli.

— Niech pan przyjeżdża... często.

— Dziękuję.

I wyciągnął rękę, a panna Marynia podała mu także dłoń, jakby na znak przymierza.

Ach, jak i on się jej podobał, ze swoją twarzą szczerą, męską, ze swoją ciemną czupryną i pewną dzielnością w całej postawie, ze swemi żywymi oczyma! Przywiózł przytem tyle tych technień, których jej w Krzemieniu brakło; jakieś nowe widnokregi, wybiegające daleko poza staw i olszyny, które zamykały widnokrąg krzemieński. Zrobili też jednego dnia tyle drogi, ile jej można było zrobić.

Siedzieli więc znowu jakiś czas w milczeniu i wędrowali dalej, w milczeniu równie pośpiesznie, jak w rozmowie. Marynia wskazała wreszcie ręką na światło, które się zwiększało za olszynami, i rzekła:

— Księżyc.

— Aha! księżyc! — powtórzył Polaniecki.

Ów zaś rzeczywiście wysuwał się zwolna z za olszyn, czerwony i wielki jak koło. Ale tymczasem psy zaszczeptały, powozik zaturkotał z drugiej strony domu, i po chwili, w salonie, do którego poprzednio już wniesiono lampy, ukazał się pan Pławicki.

Marynia weszła do salonu. Polaniecki za nią.

— Nic się nie stało — rzekł pan Pławicki. — Zajechała ich Chromecka, że zaś myśleli, że odjedzie wkrótce, więc nie dawali znać. Jamisz

trochę chory, ale jutro wybiera się do Warszawy. Ona obiecała się tu pojutrze.

— Więc wszystko dobrze? — spytała Marynia.

— Dobrze. A wy coście tu porabiali?

— Słuchaliśmy żab, — odpowiedział Połaniecki — i dobrze nam było.

— Pan Bóg wiedział, na co i żaby stworzył, więc choć mi spać po nocy nie dają, nie narzekam. Ale tymczasem niech Marynia da herbaty.

Herbata czekała gotowa w drugim pokoju. Pan Plawicki opowiadał przy niej o swojej wizycie u Jamiszów. Młodzi byli milezący, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie pełnemi światła oczyma i na dobranoc uścisnęli się bardzo mocno za ręce.

Panna Marynia czuła pewną ociężałość, rozbierając się, jakby ją ten dzień zmęczył; ale było to dziwne jakieś i mile zmęczenie. Potem, gdy już jej główka wsparła się na poduszce, nie myślała o tem, że jutro poniedziałek, że zaczyna się nowy tydzień powszedniej roboty, tylko myślała o Połanieckim, i w uszach jej brzmiały jego wyrazy:

— Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana.

Polaniecki zaś mówił sobie, zapalając w łóżku papierosa:

— Dobrze to, śliczne, miłe — gdzie taka druga?

III.

Lecz nazajutrz był szary dzień, i panna Pławicka obudziła się z wyrzutami. Zdawało jej się, że wczoraj dała się unieść jakiemuś prądowi dalej, niż należało, i że wprost była z Polanieckim kokietką. Przejmowało ją to szczególnym niesmakiem z tego głównie powodu, że jednak ów Polaniecki przyjechał jako wierzyciel. Wczoraj o tem zapomniała, dziś zaś mówiła sobie: «Niechybnie przyjdzie mu do głowy, żem go chciała ująć lub ulagodzić» — i na tę myśl krew napłynęła jej do policzków i czoła. Miała ona naturę prawą i wiele ambicyi, która wzburzała się na każde przypuszczenie, że może być posądzoną o wyrachowanie. Teraz, uwierzywszy w możliwość takiego posądzenia, uczuła z góry jakby urazę do Polanieckiego. Jedną jeszcze przytem myśl była nad wszelki wyraz przykrą: oto wiedziała, że wogóle w kasie krzemienieckiej grosz nie może grosza dogonić, że pieniędzy niema, i że, jeżeli skutek zamierzonej

parcelacyi Magierówki, były na nie w przyszłości widoki, to ojciec będzie się wykręcał, gdyż inne długi uważa za pilniejsze od długu Polanieckiego. Obiecywała sobie wprawdzie, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, by Polaniecki został koniecznie i przed innymi spleacony, ale wiedziała, że niewiele może wskórać. Ojciec wyręczał się nią chętnie w gospodarstwie, ale w sprawach pieniężnych rządził się sam i rzadko kiedy słuchał jej zdania. Rola jego pod tym względem polegała wprawdzie na wykręcaniu się wszystkim ze wszystkiego, na obietnicach nigdy nie dotrzymywanych, na zwłokach i na przedstawianiu urojonych obliczeń i nadziei za rzeczywistość. Ponieważ dochodzenia wierzytelności, opartych na hipotekach ziemskich, same przez się są trudne i powolne, a obrona daje się przedłużać niemal dowolnie, przeto pan Plawicki trzymał się istotnie przy Krzemieniu dzięki swemu systemowi. W końcu groziło to wszystko równie nieublaganą, jak zupełną ruiną, tymczasem jednak stary człowiek uważał się za «głowę od interesów» i tem niechętniej słuchał zdań i rad córki, że zaraz posądzał ją, iż wątpi o jego «głowie» — to zaś obrażało w najwyższym stopniu jego miłość własną.

Panna Marynia przeszła już z powodu tej «głowy» i jej sposobów przez niejedno upoko-

rzenie. Życie jej wiejskie było tylko pozorną sielanką pracy i gospodarskich zajęć. Nie brakło w niem ani przykrości, ani bólów, i jej spokojna twarz mogła oznaczać nietylko słodycz charakteru, ale i jego siłę, a przytem wielkie wyrobienie duchowe. Lecz upokorzenie, które groziło teraz, wydało się jej trudniejsze do zniesienia od innych.

— «Niechże on przynajmniej mnie nie pośadza!» — mówiła sobie. Ale jak mogła na to poradzić? Pierwszą jej myślą było wezwać Polanieckiego na rozmowę wprzód, nimby się widział z jej ojcem, i wyznać mu cały stan rzeczy, jak się wyznaje człowiekowi, do którego się ma ufność. Następnie przyszło jej do głowy, że taka rozmowa byłaby nie czem innem, tylko prośbą o wyrozumiałość, litość, a zatem upokorzeniem. Gdyby nie to, że panna Marynia, jako kobieta odczuwająca wszystkie drgnięcia swego serca i innych, czuła nawpół świadomie, nawpół instynktowo, że między nią a tym młodym człowiekiem coś się odrazu zapowiedziało, coś się już prawie zaczęło — a zwłaszcza, że coś mogło i musiało stać się w przyszłości nieuniknionem, byłaby się jednak chwyciła tej drogi. Lecz wobec takiego stanu rzeczy zdawało się jej, że nie może. Pozostawało jej tylko jedno: zobaczyć się z Polanieckim, zatrzeć swojem obejściem się

z nim wczorajsze wrażenia, porozrywać te nici sympatyj, które wzajem między sobą nawiązali, i dać mu zupełną swobodę postępowania. Taki sposób wydał się jej najlepszy, więc dowiedziawszy się od służącej, że Pclaniecki nietylko już wstał, ale wyszedł po herbacie ku gościńcowi, postanowiła go odszukać.

I przyszło jej to łatwo, on bowiem wrócił już z rannej przechadzki i, stojąc za boczną ścieżką ganku, porosłego dzikim winem, rozmawiał z tymi samymi dwoma psami, które w dniu przyjazdu tak się do niego lasily. Nie spostrzegł też jej odrazu, i Marynia, stojąc na stopniach, słyszała, jak mówił do psów:

— To psiska żold biorą za pilnowanie domu — co? osypkę jedzą — co? a na obcych nie szczekają, jeszcze się laszą. A głupie kundysy! a próżniaki!

I klepał je po białych głowach. Następnie, ujrzawszy ją przez szpary w winie, skoczył, jak wyrzucony z procy, i stanął przed nią wesół i rozjaśniony.

— Dzień dobry pani. Ja sobie tu z psami rozmawiam. Jak pani spała?

— Dziękuję.

I chłodno wyciągnęła ku niemu rękę, on zaś patrzył na nią oczyma, w których najwyraźniej

widać było, jak wielką i głęboką przyjemność czyni mu jej widok.

I on niemniej podobał się biednej pannie Maryni. Po prostu podobał jej się z całej duszy. Serce też ścisnęło się jej żalem, że na jego serdeczne «dzień dobry» wypada jej odpowiadać tak ceremonialnie i zimno.

— Może pani idzie do gospodarstwa? To, jeśli pani pozwoli, pójdę razem. Dziś muszę wracać do miasta, więc dobra mi jedna więcej chwila w towarzystwie pani. Bóg widzi, że gdybym mógł, tobym został tu dłużej. Ale znam teraz drogę do Krzemienia.

— Prosimy zawsze, jeśli panu kiedykolwiek czas pozwoli.

Polaniecki zauważył teraz chłód, bijący od jej słów, od jej twarzy, i zaczął patrzeć na nią ze zdziwieniem. Jeśli jednak panna Marynia liczyła, że uczyni on tak, jak zwykle ludzie czynią, i dostroi się natychmiast do jej tonu, to się zawiodła. Polaniecki zbyt był żywym i śmiałym, by odrazu nie spytać o przyczynę.

Jakoż, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Coś pani jest?

Marynia zmieszala się:

— Pan się myli.

— Nie. I ja dobrze widzę, i pani dobrze wie, że się nie mylę. Pani jest dla mnie taka, jak

była pierwszego wieczoru. Ale wtedy ja zawi-
niłem, bom zaczął nie w porę mówić o pienią-
dzach. Wczoraj przeprosilem panią za to, i było
dobrze — i jak dobrze! Dziś znów jest inaczej —
niechże mi pani powie dlaczego?

Żadna, najzręczniejsza dyplomacya nie zdo-
łałaby bardziej zbić z tropu panny Maryni. Oto
jej się zdawało, że zdoła go swem postępowa-
niem oziębic i oddalić, on zaś, pytając tak wręcz,
raczej zbliżał się jeszcze bardziej.

I mówił dalej tonem człowieka, któremu wy-
rządzają niesprawiedliwość:

— Niech mi pani powie szczerze, co to jest?
niech pani powie! Ojciec pani mówił, że wczoraj
miałem być gościem, a dziś wierzycielem. Ale
to jest głu... to jest nie! Ja się na takich róż-
nicach nie rozumiem, a wierzycielem pani nigdy
nie będę, chyba dłużnikiem, bom już pani dłużny
i wdzięczny za tę wczorajszą dobroć — i Bóg
widzi, jak mi chodzi o to, bym zawsze mógł
być dłużny.

I znów patrzył w jej oczy, pilnie bacząc,
czy w nich nie zjawi się wczorajszy uśmiech;
lecz Marynia, której serce ścisłało się coraz
bardziej, szła dalej drogą, którą obrała, raz dla-
tego, że ją już obrała, a powtóre i z obawy, by
przyznawszy, że dziś jest inną, nie była zmu-
szoną do wyjaśniania przyczyn.

— Upewniam, — odrzekła wreszcie z pewnem wysileniem — że albo się pan mylił wczoraj, albo się myli dziś. Ja jestem zawsze jednako, i zawsze będzie mi miło, jeśli pan wywiezie od nas dobre wspomnienie.

Słowa były grzeczne, ale mówiła je panienka tak niepodobna do wczorajszej, że na twarzy Polanieckiego zaczęło się przebijać zniecierpliwienie i gniew.

— Jeśli pani chodzi o to, — rzekł — bym udawał, iż w to wierzę, to niech będzie, jak pani chce. Wyjadę jednak z przekonaniem, że na wsi poniedziałek bardzo się różni od niedzieli.

Marynię dotknęły te słowa, wyglądały one bowiem tak, jakby Polaniecki rościł sobie już jakieś prawa z powodu jej wczorajszego obejścia się z nim. Ale odpowiedziała raczej ze smutkiem, niż z gniewem:

— Cóż ja na to poradzę!

I po chwili odeszła, oświadczywszy, że musi pójść powiedzieć dzień dobry ojcu. Polaniecki został sam; odpędził psy, które znów próbowały łaścić się, i zaczął się złościć.

— Co to jest? — pytał w duchu. — Wczoraj dobrze, dziś źle! Zupelnie inna kobieta. Jakie to wszystko głupie, jakie marne! Wczoraj krewny — dziś wierzyciel. Co jej do tego? Czemu

mnie jak psa traktuje? Czym kogo ograbił? Wiedziała i wczoraj, po com przyjechał. Dobrze! Chcecie mnie mieć wierzytcielem, nie Polanieckim — dobrze! Niechże to piorun trzaśnie!

Marynia tymczasem wbiegła do pokoju ojca. Pan Plawicki wstał już i siedział przybrany w szlafrok przed biurkiem, zapelnionem papierami. Na chwilę odwrócił się, by odpowiedzieć na dzień dobry córki, poczem zaraz zajął się na nowo czytaniem papierów.

— Papo, — rzekła Marynia — przyszedłam pomówić o panu Polanieckim... czy papa...

Lecz on jej przerwał, nie przestając patrzeć na papiery.

— Twojego Polanieckiego ugniotę w rękę, jak wosk.

— Wątpię, czy to będzie łatwo. Wreszcie jabym chciała, żeby on przed innymi był splacony, choćby z największą naszą stratą.

Wówczas pan Plawicki odwrócił się od biurka i zaczął na nią patrzeć. Potem spytał zimno:

— Proszę! Czy to opieka nad nim, czy nad mną?

— To jest kwestya naszego honoru...

— W czem, jak sądzisz, potrzebuję twojej rady?

— Nie, papo, ale...

— Co za patetyczny dzień nam nastal! Co tobie jest?

— Ja tylko proszę papy na wszystko...

— A ja cię także proszę, byś to zostawiła mnie. Usunęłaś mnie od gospodarstwa — i ustąpiłem, bo o te parę lat, które mi do życia zostają, nie chcę się sprzeczać z rodzonem dzieckiem. Ale zostawże mi choć ten kątek w domu, choć tę jedną izbę, i pozwól mi załatwiać te sprawy, które się w niej załatwić dają.

— Papo drogi, przecie ja tylko proszę...

— Żebym się przeniósł na folwark? któreż czworaki mi wyznaczasz?

Tu pan Pławicki, który mówiąc o «patetycznym» dniu, widocznie nie chciał tylko, by ktoś dzielił z nim monopol, powstał w swoim perskim szlafroku, jak król Lear, i chwycił za poręcz fotelu, dając przez to do zrozumienia okrutnej córce, że inaczej, rażony jej okrucieństwem, padłby jak długi na ziemię. Lecz jej lzy cisnęły się do oczu, a gorzkie poczucie własnej bezsilności napływało do serca. Przez chwilę stała w milczeniu, walcząc z żalem i ochotą do płaczu, poczem rzekła cicho:

— Przepraszam papę...

I wyszła z pokoju.

W kwadrans potem wszedł do niego, na żą-

danie pana Plawickiego, Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować.

Pan Plawicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle, z góry przygotowanym i, wzięwszy go dłonią za kolano, spytał:

— Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył, jak krewny, nie zamordujesz? Wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

— Nie, — odrzekł Połaniecki — domu nie spalę, wuja nie zarznę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie doprowadzi, a dla mnie jest nieznośnem.

— Dobrze, — odpowiedział pan Plawicki, nieco jednak dotknięty tem, że jego styl i sposób wyrażania się tak mało zyskują uznanie. — Pamiętaj tylko, że do mnie i do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

— Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma się nic do rzeczy. Suma tkwi na hipotece od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległymi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo — ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo po to przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacją.

— Po to przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krzesło, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

— Proszę o przystąpienie do interesu.

— Ja się przed tem nie cofam, tylko pierwszej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, że procentów nie płacił. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie całego swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady familijnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tem. Ostatecznie, wzięwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynym dzieckiem — niewiadomo, jak sobie poradzi, niewiadomo, co może wypaść — niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zaczepić. I od tej pory byłem jakby waszą kasą oszczędności. Matka dała mi dwaście tysięcy rubli — dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat, A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

— Kochany wuju Pławicki! proszę mnie nie

brać ani za głupszego, niż jestem, ani za waryata. Powiadam po prostu, że na takie plewy ja się nie złapię — bo za grube. Powiadasz wuj, że mam dwadzieścia cztery tysiące rubli — więc gdzież są? Proszę o nie — bez gadaniny i jeszcze takiej!

— A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, że jestem starszy — odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

— Mam współnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes — ja muszę wnieść tyleż. Powiadam to jasno i oświadczam, że po dwóch latach kolatania listami — nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na dłoni — i milczał.

Polaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi — patrzył ze wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: Czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista, tak zaślepiony w sobie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą? — czy wreszcie wszystko razem?

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

— Nareszcie chciałbym coś wiedzieć... — zaczął Polaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swymi myślami.

I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

— Stachu, — rzekł — po co my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia!

— Jaki?

— Bierz margiel!

— Co?

— Sprowadź tu swego współnika, sprowadź jakiego specjalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech spółkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? splaci mi tyle, ile na niego wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie — i pójdziemy razem, a zyski mogą być olbrzymie.

Polaniecki wstał.

— Proszę pana, — rzekł — do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie, żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu — tylko moich pieniędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam po prostu za niegodne, albo bezrozumne wykręty.

Nastąpiła chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew zaczął się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, poczem, przysunąwszy się szybko do kolków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i, podając Polanieckiemu, rzekł:

— A więc jest inny sposób: uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Polaniecki,

nie panując już nad sobą, odtrącił rękę z nożem i zaczął mówić podniesionym głosem:

— To jest licha komedya — nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzegu Żydowi, który potrafi sobie z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście.

— Idź! — rzekł — sprzedawaj! wpuść Żyda w gniazdo rodzinne, ale wiedz o tem, że przekleństwo moje i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Polaniecki wypadł z pokoju biały ze złości, w salonie zaś kłął, co wlazło, szukając swego kapelusza. Znalazszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy wtem weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz, przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkim w Krzemieniu, rzekł:

— Żegnam panią. Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należności!...

Była chwila, że Marynia chciała wyciągnąć

do niego rękę i powiedzieć: «Ja rozumiem pański gniew; przed chwilą byłam także u ojca i błagałam go, żeby pana splacił przed wszystkimi. Niech pan postąpi z nami i z Krzemieniem, jak pan chce, ale niech pan mnie nie obwinia, niech pan nie myśli, że ja należę do spisku przeciw panu, i niech pan ma dla mnie trochę szacunku».

I już jej ręka wysuwała się naprzód, już powyższe słowa zawisły jej na ustach, gdy Polaniecki, podniecając się coraz bardziej wewnątrz i tracąc na nowo coraz bardziej równowagę, dodał:

— Oświadczam to pani dlatego, że gdy pierwszego wieczoru chciałem być mówić z panią, pani obrazila się i odesłała mnie do ojca. Dziękuję za skuteczną radę, ale że ona lepsza dla państwa niż dla mnie, więc następną sam obmyślę.

Wówczas usta Maryni pobladły, w oczach zaświeciły łzy oburzenia, a zarazem głębokiej urazy. Podniosła głowę i rzekła:

— Może pan mówić jakie chce obelgi, bo za mną nikt się nie ujmie...

I zawróciła ku drzwiom, pełna w duszy upokorzenia i niemal rozpacz, że to są jedyne owoce, jakie zbiera za swoją pracę, w którą kładzie wszystkie siły i cały zapal swojej młodej, prawej duszy. Polaniecki spostrzegł też, że

przebrał miarę. Mając uczucia bardzo żywe, przeszedł w jednej chwili do litości — i chciał biedz za nią, przeproszać, ale już było za późno. Marynia wyszła.

To przyprawilo go o nowy napad złości. Tym razem jednak ogarnął tą złością i siebie samego. Nie żegnając się z nikim, siadł na bryczkę, która tymczasem zajechała, i ruszył z Krzemienia. W duszy wrzał mu taki gniew, że przez czas jakiś nie mógł myśleć o niczem innem, tylko o zemście: «Sprzedam, choćby za trzecią część ceny, i niech was trądują! Daję sobie słowo uczciwego człowieka, że sprzedam. Choćbym nie potrzebował, sprzedałbym — na złość!»

I w ten sposób zamiar zmienil się w zawzięte i zaprzysiężone postanowienie. Polaniecki nie był zaś z rodzaju ludzi, którzy nie dotrzymują przyrzeczeń, danych bądź komukolwiek, bądź sobie. Chodziło teraz jedynie o to, czy znajdzie kupca na sumę tak trudną do wydobycia, że, aby dojść do niej, trzeba było, bez przenośni, rozgryźć «Krzemień».

Tymczasem bryczka wytoczyła się z alei na otwartą polową drogę. Polaniecki, ochłonawszy nieco, zaczął teraz myśleć o Maryni, w taki mozaikowy sposób, złożony z poczucia jej uroku, z wrażeń, jakie uczyniła na nim jej twarz i postawa, ze wspomnień o niedzielnej rozmowie,

z niechęci, litości, urazy, zawziętości, a wreszcie z niezadowolenia z siebie, które potęgowało jeszcze zawziętość względem niej. Jedno z tych uczuć brało naprzemian górę nad innymi i narzucało im swą barwę. Chwilami przypominał sobie wysoką postać Maryni, jej oczy, jej ciemne włosy, jej śliczne, lubo może za szerokie usta, wreszcie jej wyraz — i opanowywał go poryw sympatyj ku niej. Myślał, że jest ogromnie dziewiczka, a zarazem, w ustach, w ramionach, w liniach całej podstawy, ma coś kobiecego, co pociąga ku sobie z niepohamowaną siłą. Przypominał sobie jej głos łagodny, jej spokojne wejście i jej bardzo widoczną dobroć. Wówczas, na myśl, jak był dla niej szorstki przed wyjazdem, na wspomnienie tonu, jakim do niej mówił, poczynął kląć siebie. «Jeśli ojciec jest stary komedyant, krętacz i głupiec (mówił sobie), i jeśli ona to wszystko czuje, to jest tem nieszczęśliwsza. A więc co? więc każdy człowiek z kawałkiem serca byłby to zrozumiał i zlitował się nad nią, nie zaś napadał na zapracowane biedne dziecko — ja to zrobiłem, ja!» Tu miał ochotę spoliczkować się, bo zarazem wyobrażał sobie, coby to było, jakie niezmierne zbliżenie, jaka wyjątkowa tkliwość byłaby powstała między nimi, gdyby po całej kłótni z ojcem obszedł się z nią, jak był powinien, to jest z największą

delikatnością. Byłaby mu oto podała obie ręce na pożegnanie, a onby je ucałował — i rozjechałby się, jak dwoje ludzi sobie blizkich. «Niechby wreszcie dyabli wzięli pieniądze! — powtarzał w duchu: — a teraz niech wezmą mnie!» I czuł, że porobił rzeczy, które się już nie dadzą naprawić, to zaś poczucie odbierało mu resztę równowagi i popychało tem bardziej po tej drodze, której błędność uznawał. I znów zaczął monologować mniej więcej w taki sposób: «Skoro wszystko stracone, niechże się wszystko spali. Sprzedam sumę byle Żydowi — niech ich straduje, niech wylecą na bruk, niech stary szuka urzędu, a ona niech idzie na guwernantkę, albo za Gątowskiego...» Tu nagle poczuł, że zgodzi się raczej na wszystko, niż na tę ostatnią myśl. Gątowskiemu nadkręciłby karku! Niech ją kto chce bierze, byle nie taki balwan, taki niedźwiadek, taki ryfa. I piękne epitety zaczęły się sypać na nieszczęśliwego Gątowskiego; na niego przeszła cała złość, jakby on rzeczywiście był sprawcą wszystkiego, co się stało. Przyjechawszy w tak ludożerczem usposobieniu do Czerniowa, byłby może Polaniecki, jak drugi Ugolin, wpił się odrazu Gątowskiemu zębami «tam, kędy czaszka do barków przypada», gdyby był go na stacyi spostrzegł. Na szczęście, zamiast «czaszki» Gątowskiego, spostrzegł tylko

kilku urzędników, kilku chłopów, kilku Żydów i pogiębioną a inteligentną twarz radcy Jami-sza, który go poznał, a gdy pociąg niebawem nadszedł, zaprosił go, dzięki dobrym stosunkom z zawiadowcą, do osobnego przedziału.

— Znałem jeszcze pańskiego ojca — rzekł — i znałem go za jego świetnych czasów. Wzią-łem z jego sąsiedztwa żonę. Pamiętam, miał wtedy Zwichów, Brzęcząca, Mocarze i Rozwady w Lubelskiem. Piękna fortuna! Dziadek pański był jednym z większych właścicieli w tamtych stronach — ale to musiało teraz przejść w inne ręce.

— Nie teraz, ale już dawniej. Ojciec mój stracił za życia cały majątek. Był chory, mieszkał w Nizzy, nie pilnował, i tak to poszło. Gdyby nie sukcesya, którą po jego śmierci dostała matka, byłoby ciężko.

— Ale pan za to dajesz sobie dobrze rady. Ja znam wasz dom. Miałem z wami przez Abdulskiego interes o chmiel.

— To Abdulski dla pana pośredniczył?

— Tak, i muszę przyznać, że byłem ze sto-sunku zupełnie kontent. Wyszliście ze mną przy-zwoicie — i widzę, że porządnie prowadzicie interesa.

— Inaczej nikt się nie ostoi. Mój wspólnik,

Bigiel, jest uczciwy człowiek, a i ja nie jestem panem Pławickim — odpowiedział Polaniecki.

— Jakże to? — spytał zaciekawiony Jamisz.

Polaniecki, z resztkami niewygasłego jeszcze rozdrażnienia, opowiedział mu całą sprawę.

— Hm! — odrzekł Jamisz — skoro pan mówisz o nim tak bez ogródek, to pozwólże, abym i ja tak mówił, choć to pański krewny.

— On sam nie jest wcale moim krewnym; pierwsza jego żona była krewną i przyjaciółką mojej matki — oto wszystko.

— Ja go znam od dziecka. To jest człowiek więcej popsuty, niż zły. Był jedynakiem, więc naprzód rozpieścili go rodzice, a potem czyniły to samo obie żony. Obie były kobiety ciche i łagodne, dla obydwóch był bożyszczem. Przez całe lata rzeczy układały się w ten sposób, że on był tem słońcem, kolo którego kręca się inne planety, i nareszcie doszedł do przekonania, że jemu się od świata należy wszystko, a ludziom od niego nic. W takich warunkach, gdy się zło i dobro własną tylko wygodą mierzy, nie łatwiejszego, niż zatracić zmysł moralny. Pławicki to jest mieszanina uroczyści i folgi: uroczyści, bo sam zawsze na chwałę swoją celebrował, a folgi, bo sobie na wszystko pozwalał. Zmieniło się to niemal w jego naturę. Potem przysły też trudne okoliczności, którym potrafi

się oprzeć tylko człowiek z charakterem, a on go nigdy nie miał. Zaczął się wykręcać i w końcu do tego przywykł. Nas, panie, ziemia uszlachetnia, ale też i ziemia psuje. Mnie jeden mój znajomy bankrut mówił: «To nie ja kręcę, to mój majątek kręci, a ja za niego gadam». — I to trochę tak jest. Więcej w naszym zawodzie, niż w każdym innym...

— Wyobraź pan sobie, — odpowiedział Polaniecki — że ja, który pochodzę z roli, nie mam żadnego pociągu do rolnictwa. Wiem, że ono będzie zawsze, bo być musi, ale w tej formie, jak jest dziś, nie widzę dla niego przyszłości. Wy wszyscy musicie zginąć.

— Ja też nie patrzę różowo. Pomijam, że ogólny stan rolnictwa jest w całej Europie zły, bo to rzeczy znane, ale pomyśl pan tylko: ma szlachcic czterech synów, więc każdy z nich odziedziczy tylko czwartą część ojcowskiego majątku. Tymczasem cóż się dzieje? Każdy, przywyklszy do ojcowskiej normy życia, chce żyć jak ojciec — ot już koniec łatwy do przewidzenia. Po drugie: ma szlachcic czterech synów — to zdolniejsi obierają rozmaite zawody: na roli, o zakład, zostaje najmniej zdolny. Po trzecie: to, co całe szeregi pokoleń zapracowały, jedna lekkomyślna głowa zniszczy. Po czwarte: my jesteśmy nieźli rolnicy, a źli administrato-

rowie, dobra zaś administracya znaczy więcej od dobrej uprawy roli: więc cóż za wniosek? Ziemia zostanie, ale my, którzy ją dziś przedstawiamy, pod formą większej własności, prawdopodobnie musimy z niej wyjść. Tylko, widzisz pan, może z czasem wrócimy.

— Jak to?

— Bo naprzód, to, co pan mówisz, że pana do ziemi nie ciągnie, to jest złudzenie. Ziemia, panie, ciągnie i ciągnie z taką siłą, że każdy, przyszedłszy do pewnych lat, do pewnej zamożności, nie może się oprzeć chęci posiadania kawałka ziemi. Przyjdzie to i na pana. I to jest naturalne. Ostatecznie, wszelkie bogactwo może być uważane za fikcyę, prócz ziemi. Wszystko wychodzi z niej i wszystko istnieje dla niej. Jak bilet bankowy jest kwitkiem na monetę metalową, leżącą w banku państwa, tak i przemysł, i handel, i co pan chcesz, jest ostatecznie zmienioną na inny kształt ziemią... a co do was zwłaszcza, którzyście z niej wyszli, musicie do niej wrócić.

— Ja przynajmniej nie myślę.

— Co pan wiesz? Dziś robisz majątek, ale gdy go zrobisz? I w tem jest przyszłość. Polanieccy byli rolnikami — teraz jeden obral inny zawód. Większość dzieci rolników musi także obrać inny zawód — choćby dlatego, że inaczej

nie może. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci — a wróci nietylko z kapitałem, ale z nową energią i z tą znajomością ścisłej administracyi, jaką specjalne zawody wyrabiają — wróci przez ten pociąg, który ziemia wywiera, i wreszcie z poczucia obowiązków, których panu tłumaczyć nie potrzebuje.

— To, co pan mówisz, ma tę dobrą stronę, że wówczas taki mój wujaszek - nie - wujaszek, Plawicki, będzie należał do typów zaginionych.

Pan Jamisz zamyslił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Nie się ciągnie i ciągnie, póki się nie urwie, ale w końcu musi się urwać. Oni się nie utrzymają, mojem zdaniem, przy Krzemieniu, choćby rozparcelowali Magierówkę. Ot, kogo mi żal, to Maryni. To nadzwyczaj pocziwe dziecko. Bo pan nie wiesz, że stary chciał przed dwoma laty sprzedać Krzemień i wynieść się do miasta, i że nie stało się to w części na prośby Maryni. Czy to ze względu na pamięć matki, która tam leży, czy dlatego, że tyle się mówi i pisze o obowiązku trzymania się przy ziemi — dość, że dziewczyna robiła co mogła, by do sprzedaży nie dopuścić. Wyobrażało sobie biedactwo, że byle się wziąć ze wszystkich sił do roboty, można wszystkiego dokazać. I prawdziwie, że wyrzekła się całego świata

dla tego Krzemienia. Dla niej to będzie cios, jak się nie wreszcie urwie, a musi się urwać... Szkoda dziewczyny lat.

— Pan jesteś dobry człowiek, panie radco! — zawołał Polaniecki ze zwykłą sobie żywością.

Stary człowiek uśmiechnął się.

— Ja lubię to dziecko, bo to wreszcie i moja pupilka w zawodzie gospodarskim; pewnie, że będzie smutno, gdy nam jej zbraknie.

Polaniecki zaczął przygryzać czas jakiś wąsy, wreszcie rzekł:

— Niech wyjdzie za mąż za kogo w okolicy, to i zostanie.

— Wyjdzie, wyjdzie... Niby to pannie bez majątku łatwo. Kto u nas jest? Gątowski. Ten by ją wziął. Dobry człowiek i wcale nie tak ograniczony, jak mówią. Ale ona nie ma dla niego uczucia, a bez uczucia nie wyjdzie. Jalbrzyków mały mająteczek. Staremu się przytem zdaje, że Gątowscy są czemś mniej od Plawickich — i Gątowski także już w to uwierzył. Jak to pan wie, u nas ten uchodzi za familianta, komu się podoba za takiego uważać. Bo ludzie niby się śmieją, a w końcu przywykają. Przytem jeden podnosi nosa dlatego, że się dorabia majątku, a drugi dlatego, że go traci — i nic innego mu nie pozostaje. Ale mniejsza

z tem. To jedno wiem, że kto Marynię weźmie, perłę weźmie.

Polaniecki miał w tej chwili w duszy to samo i przekonanie i poczucie. Pograżywszy się więc w milczeniu, zaczął na nowo rozmyślać o Maryni, a raczej przypominać ją sobie i wyobrażać. Nagle wydało mu się nawet, że będzie bez niej tęsknił; ale przypomniał sobie także, że podobne rzeczy nieraz już mu się wydawały, a potem czas rozwiewał te złudzenia. Jednakże myślał o niej jeszcze nawet i wówczas, gdy zbliżali się już do miasta, i wysiadając w Warszawie, mruzczał przez zęby:

— Jak się to głupio stało! jak głupio!...

IV.

Po powrocie do Warszawy, pierwszy wieczór spędził Polaniecki w domu swego współnika Bigiela, z którym, jako z dawnym kolegą szkolnym, łączyła go i osobista zażyłość. Bigiel, z pochodzenia Czech, ale z rodziny, osiadłej w kraju od kilku pokoleń, prowadził już przed połączeniem się z Polanieckim niewielki dom bankowo-handlowy i zyskał sobie opinię kupca, niezbyt wprawdzie przedsiębiorczego, ale uczciwego i nad-

zwyczaj pewnego w stosunkach. Gdy Polaniecki jeszcze przed ostatecznym powrotem z za granicy wszedł w spółkę, dom rozszerzył znacznie swą działalność i stał się poważną firmą. Wspólnicy dopełniali się doskonale. Polaniecki, nierównie zdolniejszy i bardziej rzutki, miał więcej pomysłów i ogarniał łatwiej całość każdej sprawy; natomiast Bigiel pilnował lepiej jej wykonania. Gdy chodziło o to, by okazać energię, lub przycisnąć kogoś do muru, tam Polaniecki był jedyny; natomiast gdy szło o rozmyśl, o obejście interesu z dziesięciu stron i o cierpliwość, tam zaczynała się rola Bigiela. Usposobieniem byli sobie wręcz przeciwni i może dlatego mieli dla się wzajemnie szczerą przyjaźń. Przewaga w stosunku była po stronie Polanieckiego. Bigiel wierzył w jego niepospolite zdolności, a kilka pomysłów, istotnie bardzo dla domu szczęśliwych, jakie dał Polaniecki od czasu wejścia w spółkę, utwierdziły tę wiarę. Marzeniem obydwóch było dojść z czasem do takiego kapitału, by móc założyć fabrykę perkalów, którą kierowałby Polaniecki, administrował Bigiel. Ale, jakkolwiek obaj mogli się już liczyć do ludzi niemal zamożnych, była to odległa przyszłość. Mniej cierpliwy, a bardzo na wszystkie strony spokrewniony Polaniecki, próbował wprawdzie zaraz po przyjeździe do kraju poruszyć w tym

celu miejscowe, tak zwane «swojskie» kapitały. Ale spotkała go ogólna nieufność. Zauważył przytem rzecz dziwną. Oto jego nazwisko otwierało mu wszystkie drzwi, ale raczej szkodziło, niż pomagało mu w interesie. Zdawać się mogło, że tym ludziom, do których się zgłaszał, nie mieściło się w głowie, jakim sposobem jeden z nich, zatem człowiek z dobrego domu i z nazwiskiem kończącym się na *ski*, może dobrze prowadzić jakikolwiek interes. Polanieckiego złościło to z początku tak, że roztropny Bigiel musiał gasić jego wybryki za pomocą przedstawień, iż podobna nieufność jest istotnie oparta na latach smutnych doświadczeń. I, znając dobrze historię rozmaitych przedsięwzięć handlowo-przemysłowych, cytował mu cały szereg nazwisk, począwszy od pana podskarbiego Tyzenhauza, a skończywszy na rozmaitych bankach włościańskich i Tellusach, które, prócz nazwy, nie miały w sobie nic ziemskiego, czyli, inaczej mówiąc, pozbawione były wszelkich realnych podstaw. — «Czas jeszcze nie przyszedł, — mówił Bigiel — ale czas przyjdzie, a raczej już nadchodzi. Do tej pory było tylko amatorstwo i dyletantyzm, teraz dopiero zjawiają się tu i owdzie ludzie fachowi».

Polaniecki, który mimo swego temperamentu, miał zmysł spostrzegawczy dość rozwinięty, po-

czynił przytem rozmaite dziwne odkrycia w tych sferach, do których jego stosunki otwierały mu przystęp. Oto spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił. Podnoszono to nawet z naciskiem, ale było w tem uznaniu jeszcze jakby pewne pobłażanie. Każdy dawał zanadto do poznania, że się na to zgadza, że uważa to za potrzebne, nikt zaś nie zachował się tak, jakby fakt, iż Polaniecki czemś się zajmuje, uważał za rzecz zupełnie zwykłą i naturalną. «Oni mnie wszyscy *protegują!*» - mówił Polaniecki — i to była prawda. Doszedł też do przekonania, że gdyby naprzykład chciał sięgnąć po rękę którejś z panien z tak zwanego «towarzystwa» — to jego dom bankowo-handlowy i nazwa «aferyzisty» byłyby mu, mimo owego uznania, raczej przeszkodą niż pomocą. Pędzejby mu oddano każdą z tych dziewczyn, gdyby, zamiast zyskownego przedsiębiorstwa, miał jaki odłużony majątek, lub gdyby, żyjąc jak wielki pan, zjadał poprostu procenta od kapitału, albo nawet i sam kapitał.

Uczyniwszy całe tuziny tego rodzaju spostrzeżeń, Polaniecki zaczął zaniedbywać stosunki, a w końcu zaniechał ich zupełnie, poprzestając na domu Bigielów, pani Emilii Chwastowskiej i tych znajomościach męskich, jakie były konieczne przy jego życiu kawalerskiem. Jadał

u François z Bukackim, ze starym Waskowskim i z adwokatem Maszką, z którymi ustawicznie rozprawiał i spierał się o rozmaite kwestye; bywał często w teatrze i na wszelkiego rodzaju zabawach publicznych; zresztą prowadził życie dość odosobione, i dlatego, mimo wielkiej i wyrozumowanej ochoty, jak również mimo dostatecznego majątku, dotychczas się nie ożenił.

Zajechawszy, po powrocie z Krzemienia, niemal wprost do Bigielów, wylał naprzód całą żółć na «wujaszka» Plawickiego, sądząc, że w gospodarzu znajdzie powolnego i współczującego słuchacza; ale Bigiel mało się wzruszył opowiadaniem i rzekł:

— Ja takie typy znam. Zresztą, prawdę powiedziawszy, skąd Plawicki weźmie pieniędzy, skoro ich nie ma? Z długami hipotecznymi trzeba mieć świętą cierpliwość. Majątek ziemski łatwo lyka pieniądze, ale oddaje je z największym wysileniem.

— Słuchaj, Bigiel — odrzekł Połaniecki: — od czasu, jak tyjesz i sypiasz po obiedzie, z tobą trzeba mieć także świętą cierpliwość.

— Bo tak szczerze — mówił niewzruszony Bigiel — czy ty koniecznie potrzebujesz tych pieniędzy? Czy nie masz do rozporządzenia sumy, jaką każdy z nas obowiązany jest wniesć?

— Ciekawym, co tobie, albo Plawickiemu do tego? Mam u niego, muszę odebrać, i skończyło się.

Wejście pani Bigielowej, z całym stadkiem dzieci, położyło tamę klótni. Była to młoda jeszcze kobieta, ciemno-włosa, niebiesko-oka, bardzo dobra i bardzo zajęta dziećmi, których było sześcioro, i które Polaniecki nadzwyczaj lubił. Była też za to szczerą jego przyjaciółką, jak również pani Emilii Chwastowskiej. Obie te panie, znając i kochając Marynię Plawicką, postanowiły ożenić z nią Polanieckiego, obie namawiały go bardzo silnie, by osobiście jechał po pieniądze do Krzemienia; teraz więc pani Bigielowa płonęła ciekawością, jakie te odwiedziny uczyniły na nim wrażenie.

Ale z powodu dzieci nie można się było dogadać. Najmłodszy z tych, które już chodziły na własnych nogach, Jaś, objąwszy rękoma łydkę Polanieckiego, począł za nią ciągnąć, wołając: «Pan, pan!» — co w jego języku brzmiało: «Pam! pam!» — dwie dziewczynki, Ewka i Joasia, wgramoliły się bez ceremonii na kolana młodego człowieka, a Edzio i Józio wytoczyli przed nim sprawę. Dzieci czytały «Zdobycie Meksyku» i bawiły się w «zdobycie Meksyku», więc Edzio, podniósłszy brwi i przekręciwszy dłonie do góry, mówił z zapalem:

— Dobrze! ja będę Kortezem, a Józio rycerzem na koniu, ale jak Ewka, ani Joasia nie chcą być Montezumą, to jakże? Przecież tak nie można się bawić, prawda? Ktoś musi być Montezumą, bo inaczej któż będzie Meksykanami dowodził?

— A gdzież są Meksykanie? — spytał Polaniecki.

— No, — rzekł Józio — Meksykanami są przecie krzesła, i Hiszpanami także.

— To czekajcież, ja będę Montezumą — a teraz zdobywajcież Meksyk!

Tu wszczął się rwetes nieopisany. Żywość Polanieckiego pozwalała mu zmieniać się chwilami w dziecko. Stawił on tak zacięty opór Korteżowi, że Korteż począł mu odmawiać prawa do takiego oporu, twierdząc, nie bez słuszności historycznej, że skoro Montezuma został pobity, to powinien się dać pobić. Na to Montezuma odpowiadał, że go to mało obchodzi i walczył dalej. W ten sposób zabawa przedłużała się coraz bardziej.

Lecz pani Bigielowa, nie mogąc doczekać końca, spytała wreszcie męża:

— Jakże wizyta w Krzemieniu?

— Zrobił to, co teraz robi — odpowiedział z flegmą Bigiel: — poprzewracał wszystkie krzesła i wyjechał.

— Mówił ci co?

— O pannę nie miałem czasu go zapytać, ale z Plawickim rozstał się, jak nie można gorzej. Chce sprzedać swój dług na Krzemieniu, co oczywiście pociągnie za sobą zupełne zerwanie stosunków.

— Szkoda — odrzekła pani Bigielowa.

I przy herbacie, gdy dzieci spać poszły, poczęła wprost wypytywać Połanieckiego o Marynię.

— Nie wiem — odpowiedział Połaniecki; — może jest ładna, może nie! Nie zastanawiałem się nad tem.

— To nie prawda — odpowiedziała pani Bigielowa.

— A więc nie prawda! A więc jest miła, ładna i co pani chce. Można się w niej zakochać, można się z nią ożenić, ale noga moja więcej u nich nie postanie. Wiem doskonale, dlaczego mnie tam panie wysyłały; tylko lepiej mnie było ostrzedz, kim jest jej ojciec, bo ona musi być do niego z usposobienia podobna, a jeśli tak jest, to dziękuję uniżenie.

— Niech się pan zastanowi, co pan mówi: «jest ładna, jest miła, można się z nią ożenić» — a potem: «musi być do ojca podobna!» Przecie to się nie trzyma!

— Być może, wszystko mi jedno! Nie mam szczęścia, i dość na tem!

— A ja powiadam panu dwie rzeczy: po pierwsze, że pan powrócił pod silnem wrażeniem Maryni, a po drugie, że to jest jedna z najlepszych panien, jakie w życiu widziałam, i że szczęśliwy będzie, kto ją weźmie.

— Czemuż jej dotąd nikt nie wziął?

— Bo ona ma dwadzieścia jeden lat i nie dawno w świat weszła. Niech pan zresztą nie myśli, żeby nie miała już starających się.

— Niechże ją bierze kto inny.

Ale Polaniecki powiedział to nie szczerze, myśl bowiem, że ją może wziąć kto inny, była mu niezmiernie przykra. Czuł też w duszy wdzięczność dla pani Bigielowej za jej pochwały dla Maryni.

— Niech tam! — rzekł — ale pani jest dobrą przyjaciółką.

— Nie tylko Maryni, ale i pańską, i pańską. Proszę tylko o szczerą, ale zupełnie szczerą odpowiedź: jest pan pod wrażeniem, czy nie jest?

— Ja? pod wrażeniem? Szczerze mam powiedzieć? — Ogromnie!

— A widzi pan! — odrzekła pani Bigielowa, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

— Cóż widzę? Nic nie widzę! Podobała mi się ogromnie — prawda! Pani nie ma pojęcia,

jakie to sympatyczne i pociągające stworzenie. I dobre musi być! Ale cóż? Przecie ja drugi raz do Krzemienia nie mogę jechać. Wyjechałem taki zły, mówilem nietylko Plawickiemu, ale i jej, takie przykre rzeczy, że to niepodobna.

— Bardzo pan nabroil?

— Raczej zanadto, niż za mało.

— To można listem ulagodzić.

— Jabym miał pisać do Plawickiego i przeproszać? Za nic w świecie! Przecie on mnie zresztą przeklął.

— Jak to przeklął?

— Jako patriarchy rodu. W swoim imieniu i wszystkich przodków. Mam taki do niego wstręt, że nie umiałbym dwóch słów nakreślić. To jest stary, patetyczny komedyant. Ją prędzejbym przeprosił, ale na co się to zdało? Ona musi z ojcem trzymać. To i ja rozumiem. W najlepszym razie odpisze mi, że jej bardzo przyjemnie, i na tem stosunek się urwie.

— Jak Emilka wróci z Reichenhallu, to pod pierwszym lepszym pozorem ściągniemy tu Marynię — i wtedy, to już będzie pańska rzecz, by się te nieporozumienia zatarły.

— Za późno, za późno! — powtórzył Polaniecki. — Dałem sobie słowo, że tę sumę sprzedam — i sprzedam.

— To może właśnie będzie lepiej.

— Nie, to będzie gorzej! — wtrącił pan Bigiel. — Ja go namawiam, by sumy nie sprzedawał. Mam przytem nadzieję, że kupca na nią nie znajdzie.

— A tymczasem Emilka ukończy kuracyę Litki.

Tu pani Bigielowa zwróciła się do Polanieckiego:

— Zobaczy pan, jak teraz inne panny będą się panu wydawały po Maryni. Ja nie jestem z nią tak blisko, jak Emilka, ale postaram się znaleźć pierwszy lepszy pozór, żeby do niej napisać i dowiedzieć się, co też ona o panu myśli.

Na tem skończyła się rozmowa. Polaniecki, wracając do domu, spostrzegł, że jednak ta Marynia zajęła już wcale niepoślednie miejsce w jego duszy. Prawdę mówiąc, nie mógł prawie o czem innem myśleć. Miał jednak współcześnie poczucie, że ten stosunek zaczął się w warunkach niepomyślnych, i że lepiej byłoby wybić sobie z głowy tę dziewczynę, póki jest jeszcze czas po temu. Jako człowiek duchowo raczej tęgi, niż słaby, i nie przywykły oddawać się marzeniom dlatego tylko, że są mile, postanowił trzeźwo ocenić położenie i rozważyć je ze wszystkich stron. Panna posiadała wprawdzie wszystkie niemal te warunki, których wymagał od przyszłej swej żony, i nadto przypadła mu

osobiście do serca. Ale posiadała przytem i ojca, którego Polaniecki już nie znosił; a oprócz ojca, prawdziwe brzemie pod postacią Krzemienia z przyległościami. «Z tą uroczystą starą malpą nie zżyję się nigdy i nie mogę się zżyć, — myślał Polaniecki -- albowiem z nim dwojaki tylko stosunek jest możliwy: trzeba albo mu się poddać, do czego bezwarunkowo nie jestem zdolny, albo nim potrząsać codzien, tak, jak potrząsnąłem w Krzemieniu. W pierwszym razie, ja, człowiek niezależny, poszedlbym w nieznośną niewolę starego egoisty, w drugim — rola mojej żony byłaby trudna, przykra, i nasze pożycie mogłoby się popsuć».

— Spodziewam się, — mówił sobie dalej — że to jest trzeźwe i logiczne rozumowanie. Byłoby ono błędnem tylko wówczas, gdybym ją już kochał. Sądzę jednak, że tak nie jest. Jestem nią zajęty, nie zakochany w niej. To są dwie rzeczy różne. Ergo: trzeba przestać o niej myśleć, i niech ją bierze kto inny!

Na tę ostatnią myśl znów zapiekło go żywe uczucie przykrości, ale pomyślał: «Jestem nią tak zajęty, iż to jest rzecz naturalna. Ostatecznie, zgryzłem niejedną przykrość w życiu, zgryzę i tę. Przypuszczam także, że będzie się ona z każdym dniem zmniejszała».

Ale wkrótce spostrzegł, że, prócz tej przy-

krości, zostaje w nim jeszcze uczucie żalu, z powodu zniknięcia tych widoków, które otwierały się przed nim. Zdawało mu się teraz, że podniesiono przed nim jakąś zasłonę przyszłości i pokazano, coby być mogło, a potem spuszczone ją nagle, i życie jego wracało na dawną drogę, nie prowadzącą ostatecznie do niczego, a raczej prowadzącą do pustkowie. Polaniecki czuł, bądź co bądź, że stary filozof Waskowski ma słuszość, i że robienie pieniędzy może być tylko środkiem. Po za tem zagadka życiowa winna być inaczej rozwiązana. Musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które, spełnione w sposób cny i prosty, prowadzi do uspokojenia duchowego. To uspokojenie jest duszą życia — i bez niego nie ma ono, krótko mówiąc, sensu. Polaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, to jest nosił i on w sobie część tego wielkiego niepokoju, który w obecnej schyłkowej epoce jest zmorą ludzką. I w nim wykruszyły się te podstawy, na których dotąd wspierało się życie. I on zwątpił, czy potykający się o wszystkie przydrożne kamienie racjonalizm zdoła zastąpić wiarę, a wiary dotychczas nie odzyskał. Od współczesnych «dekadentów» różnił się jednak tem, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie, i że nie dał sobie dyspensy

na niedoleństwo i próżniactwo. Miał, owszem, mniej więcej uświadomione poczucie, że życie, jakie ono jest, tajemnicze, czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregiem prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite: «dlaczego?» to jednak należy coś robić — sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią. Może być wprawdzie nedorzeczną, ale przynajmniej człowiek, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż pozostaje? Założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żeniliby się i nie wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumowo męskie instynkta Polanieckiego, wskazywała mu małżeństwo jako jeden z głównych celów życia. Jego wola była oddawna napięta i zwrócona ku temu celowi. Przez chwilę panna Marynia wydała mu się być ową przystanią, «do której okręt w noc pochmurną zmierza». — Teraz więc, gdy sobie wyrozumował, że światła tej przystani nie dla niego były zapalone, że trzeba płynąć dalej, zacząć na nowo żeglugę po nieznanym morzach, ogarnęło go uczucie i zmęczenia i żalu. Ale własne rozumowania wydały mu się logiczne, i wrócił do domu z ustalonym prawie zu-

pełnie przekonaniem, że «jeszcze nie ta» i «jeszcze nie tym razem».

Nazajutrz, poszedłszy na obiad, znalazł w restauracyi Waskowskiego i Bukackiego. Po chwili nadszedł też i Maszko, ze swoją twarzą aroganta, długimi faworytami, monoklem w oku, wypiekami na twarzy i białą kamizelką. Po powitaniu, wszyscy zaczęli wypytywać się Połanieckiego o wyprawę do Pławickiego, w części bowiem wiedzieli, dlaczego panie nastawały na jego osobisty wyjazd, a prócz tego, znali pannę Pławicką od pani Emilii Chwastowskiej.

Po wysłuchaniu opowiadania, przezroczysty, jak sewrska porcelana, Bukacki rzekł z właściwą sobie flegmą:

— Więc wojna? To jest panna, która działa na nerwy, i teraz pora byłaby o nią uderzyć. Kobieta na kamienistej drodze łatwiej przyjmuje ofiarowane sobie ramię, niż na równym gościńcu.

— To jej podaj — rzekł z pewną niecierpliwością Połaniecki.

— Widzisz, mój kochany, są trzy przeszkody. Naprzód, jeszcze bardziej działa mi na nerwy pani Emilia; powtóre, miewam co rano ból w szyi i tylnej części głowy, co zapowiada chorobę mózgową; a potrzecie, jestem goły.

— Ty goły?

— Przynajmniej teraz: kupilem kilkanaście Falków, wszystko «avant la lettre», i wyplókałem się na jaki miesiąc — a jeśli dostanę z Włoch jednego Masaccia, o którego się układam w tej chwili, to się zrujuję na jaki rok.

Waskowski, który z rysów, a raczej z wypieków na twarzy, podobny był nieco do Maszki, lubo daleko starszy i lubo twarz miał pełną słodyczy, utkwil swoje niebieskie oczy w Bukackiego i rzekł:

— I to choroba wieku. Kolekcjonerstwo i kolekcjonerstwo na wszystkie strony!

— Oho! będzie rozprawa — zauważył Maszko.

— Nie mamy nic lepszego do roboty — odpowiedział Polaniecki.

A Bukacki podniósł rękawicę.

— Co pan masz przeciw kolekcjonerstwu?

— Nic — odpowiedział Waskowski. — To jest taki staruszkowaty, godny naszych czasów, sposób kochania sztuki. Czy nie myślicie, że jest w tem coś zgrzybiałego? Według mnie, to jest bardzo charakterystyczne. Niegdyś nosiło się w sobie zapal dla wielkiej sztuki, kochało się ją tam, gdzie była: w muzeach, w kościołach; dziś sprowadza się ją sobie do prywatnego gabinetu. Dawniej kończyło się na kolekcjonowaniu, dziś się od niego zaczyna — i zaczyna się od dziwactw. Nie mówię do Bukackiego, ale

dziś najmłodszy chłopak, byle miał trochę pieniędzy, poczyną kolekcjonować — i co? nieraz nie przedmioty sztuki, ale jej dziwactwa, albo przynajmniej drobiazgi. Widzicie, moi drodzy, mnie się zdawało zawsze, że miłość i amatorstwo to są dwie rzeczy różne, i przypuszczam na przykład, że wielki amator kobiet nie jest człowiekiem zdolnym do podniosłego uczucia.

— To być może. W tem coś jest! — rzekł Polaniecki.

— Co mnie to może obchodzić — rzekł Maszko, rozczesując palcami swoje angielskie bokobrody; — w tem tkwi przedewszystkiem zrządzenie starego pedagoga na nowsze czasy.

— Pedagoga? — powtórzył Waskowski. — Naprzód, od czasu, jak mi spadł niespodzianie kawał chleba, wyrzekłem się rzezi niewiniątek i roli Heroda; powtóre, mylisz się pan, że ja zrządzę. Ja niemal z radością widzę i notuję coraz nowe dowody, że jesteśmy przy końcu epoki, i że wkrótce przyjdzie nowa.

— Jesteśmy na pełnem morzu i nie prędko zawiniemy do brzegu — mruknął Maszko.

— Daj spokój — odpowiedział Polaniecki.

Lecz niezrażony Waskowski ciągnął dalej:

— Amatorstwo prowadzi do wyrafinowania, a w wyrafinowaniu giną wielkie ideały i ustępują chęci używania. Wszystko to nic innego,

tylko pogaństwo. Nikt sobie nie zdaje sprawy, do jakiegośmy stopnia spoganieli, ale jest co? Jest duch aryjski, który nie kostnieje, nie zastyga nigdy, duch mający w sobie tchnienie boże, więc moc twórczą — i temu duchowi już ciasno w pogańskich więzach, i reakcyja już się poczyna, i nastąpi odrodzenie się tak na tem polu, jak i na innych w Chrystusie... To niewątpliwa rzecz.

I Waskowski, który miał oczy, jak dziecko, to jest odbijające tylko zewnątrz przedmioty, a utkwione wiecznie jakby w nieskończoność, utkwil je teraz w oknach, przez które widać było szare chmury, między którymi przedzierały się gdzieniegdzie promienie słońca.

Bukacki zaś rzekł:

— Szkoda, że mnie głowa pobolewa, bo to będzie ciekawa epoka.

Lecz Maszko, który Waskowskiego nazywał «pilą» i nudził się jego rozprawami, wszczynanemi rzeczywiście z lada powodu, albo i bez powodu, wydobyl z bocznej kieszeni surduta cygaro, przygryzł koniec i, zwróciwszy się do Polanieckiego, rzekł:

— Sluchaj, Stasiu, czybyś ty rzeczywiście sprzedał tę sumę, którą masz na Krzemieniu?

— Stanowczo. Dlaczego pytasz?

— Bo jabym może *reflektował*.

— Ty?

— Tak. Wiesz, że często *reflektuję* tego rodzaju interesa. Możemy o tem pogadać. Dziś napewno nie ci nie mogę powiedzieć, ale jutro każę sobie przysłać wyciąg hipoteczny Krzemienia i powiem ci, czy rzecz jest możliwa. Może po obiedzie przyjdiesz do mnie na kawę, i może coś ułożymy.

— Dobrze. Jeśli co ma być, wołałbym, żeby było prędko, bo jak się tylko załatwię z Bigielem, chciałbym wyjechać.

— Dokąd się wybierasz? — spytał Bukacki.

— Nie wiem. W mieście zanadto już gorąco. Gdzieś do drzew i wody.

— Także stary przesąd — rzekł Bukacki: — w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego niema na wsi. Chodzę sobie cieniłą stroną, i jest mi dobrze; dlatego nigdy w lato z miasta nie wyjeżdżam.

— A profesor nie wybierzesz się gdzie? — spytał Waskowskiego Polaniecki.

— Owszem. Pani Emilia namawia mnie do Reichenhallu. Może się i wybiorę.

— A to jedźmy razem. Mnie wszystko jedno, dokąd pojedę. Lubię Salzburg, a przytem miło mi będzie zobaczyć panią Emilię i Litkę.

Bukacki wyciągnął swą przezroczywą rękę, wziął wykalaczkę z kieliszka i, wykalając zęby,

począł mówić swym zimnym i obojętnym głosem:

— Wre we mnie tak wściekła burza zaszłości, że i ja gotów jestem jechać z wami. Polaniecki, strzeż się, żebym nie wybuchnął, jak dynamit.

Było coś tak zabawnie przeciwnego między słowami a tonem Bukackiego, że Polaniecki począł się śmiać, po chwili zaś odpowiedział:

— Do głowy mi nie przyszło, że można się zakochać w pani Emilii. Dziękuję ci za ideę!

— Biada wam obojgu! — odrzekł Bukacki, wykałając dalej zęby.

V.

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie u Bigielów, Polaniecki udał się o oznaczonej godzinie do Maszki. Czekano tam na niego widocznie, bo w gabinecie zastał wykwiintną zastawę do czarnej kawy i kieliszki do likierów. Sam Maszko nie ukazał się jednak zaraz, gdyż, jak mówił służący, przyjmował jakieś panie. Jakoż przeze drzwi dochodził z salonu jego głos i słowa kobiece. Polaniecki począł się przypatrywać tymczasem przodkom Maszki, których kilka portre-

tów wisiało na ścianach i o których autentyczności powątpiewali przyjaciele młodego adwokata. Zwłaszcza pewien zezowaty infulat dostarczał Bukackiemu przedmiotu do konceptów, ale Maszko nie zrażał się tem. Postanowił on narzucić, bądź co bądź, światu siebie, swoich przodków, swoją genialność do interesów, wiedząc, że w tem społeczeństwie, w którym żył, będą sobie ludzie z tego podrwiwali, ale nikt nie zdobędzie się na energię, by wystąpić czynnie przeciw tym pretensyom. Posiadając sam energię i zuchwałość bez granic, a oprócz tego rzeczywisty spryt do interesów, postanowił wybić się w górę za pomocą tych środków. Ludzie, którzy go nie lubili, nazywali go bezczelnym, i był on nim istotnie, ale był z rozmysłu. Pochodząc z rodziny, wątpliwie nawet szlacheckiej, traktował ludzi, niewątpliwie pochodzących ze starych rodów, jakby był bez porównania lepiej od nich urodzonym, ludzi niewątpliwie bogatych, jakby był od nich bogatszym — i udawało mu się — i owa taktyka robiła swoje. Pilnował się tylko, by nie popaść w zupełną śmieszność, ale granice w takim postępowaniu wyznaczył sobie nadzwyczaj szerokie. Ostatecznie doszedł do tego, do czego chciał: był przyjmowany wszędzie i wyrobił sobie duży kredyt. Niektóre obroty przynosiły mu rzeczywiście spore zyski, ale pie-

niędzy nie zbierał. Uważał, że na to czas nie przyszedł i że musi jeszcze wkładać w przyszłość, chcąc, by mu się wypłaciła tak, jak od niej żądał. Pieniądzy wprawdzie nie trwonił i nie zbytkował, sądząc, że w ten sposób wchodzą w świat parweniusze — ale gdzie trzeba było, okazywał się, według własnego wyrażenia, «solidnie hojnym». Uchodził też za człowieka nader gładkiego w interesach i nadewszystko słownego.

Słowność jego oparta była wprawdzie na kredycie, ale też i podtrzymywała go w wysokim stopniu, co znów pozwoliło mu robić obroty istotnie wielkie. Nie cofał się zaś przed byle czem. Posiadał, prócz odwagi i pewnego zapędu, wyłączającego długie rozmysły, jeszcze i wiarę w swe szczęście. Powodzenia wzmocniły tę wiarę. Nie wiedział wprawdzie nigdy sam, ile ma majątku, ale obracał dużymi pieniędzmi, i ludzie mieli go za bogatego.

Ostatecznie sprężyną jego życia była raczej próżność, niż chciwość. Chciał wprawdzie być bogatym, ale przedewszystkiem pragnął uchodzić za wielkiego pana, na sposób angielski. Przystosował do tego nawet swoją powierzchowność i był niemal dumny ze swej brzydoty, wydawała mu się bowiem arystokratyczną. Jakoż tkwiło, jeśli nie coś niepospolitego, to przy-

najmniej coś nieswojskiego w jego wydętych ustach, szerokich nozdrzach i czerwonych wypiekach na twarzy. Była pewna siła i brutalność, jaką czasem mają Anglicy, a ów wyraz potęgowała jeszcze ta okoliczność, że nosząc binokle, musiał zadzierać głowę do góry, a przy rozczesywaniu jasnych bokobrodów palcami, zadzierał ją jeszcze bardziej.

Połaniecki nie znosił go z początku i aż na-
zbyt mało to ukrywał; później przyzwyczaił się do niego, zwłaszcza, że i Maszko obchodził się z nim inaczej, niż z innymi, może przez uznanie, jakie po cichu dla niego żywił, może też dlatego, że chcieć nadto nabierać z góry człowieka tak czupurnego — było to narażać się na natychmiastową odprawę, w najlepszym razie, nieprzyjemną. W końcu, spotykając się często, młodzi ludzie przyzwyczaili się do swych wzajemnych słabości, i teraz naprzykład, gdy Maszko, odprawivszy swoje panie, pokazał się w gabinecie, zbył się na chwilę swej wielkości i, powitawszy Połanieckiego, począł mówić jak zwykły śmiertelnik, nie zaś jak wielki pan, ani jak Anglik.

— Z babami! z babami! c'est toujours une mer à boire! Umieścilem ich kapitałik i płacę im procenta najregularniej. Nie! Przychodzą

przynajmniej raz na tydzień pytać, czy nie było jakiego trzęsienia ziemi.

— Cóż mi powiesz? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem napij się kawy.

I, podpaliwszy alkohol pod maszynką, rzekł:

— Z tobą przynajmniej nie będzie marudztwa. Wykaz hipoteczny widziałem. Suma nie jest łatwa do odzyskania, ale za straconą jej uważać niepodobna. Oczywiście, odzyskanie pociąga za sobą koszta, podróże i tak dalej, dlatego nie mogę ci dać tyle, ile całość wynosi, ale dam ci jej dwie trzecie i wypłacę w trzech ratach w ciągu roku.

— Ponieważ powiedziałem sobie, że zbędę wszystko, choćby za mniej, więc przystaję. Kiedyż pierwsza rata będzie płatna?

— Za kwartał.

— To zostawię pełnomocnictwo na Bigiela na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

— A teraz wybierzesz się do Reichenhallu?

— Prawdopodobnie.

— Ej, kto wie, czy ci naprawdę Bukacki nie poddał jakiej myśli?

— Każdy ma swoje. Ty na przykład?... Dlaczego ty kupujesz tę sumę na Krzemieniu? Przecie to jest dla ciebie za mały interes.

— Między większymi robią się i mniejsze. Ale z tobą będę otwarty. Wiesz, że ani moja

pozycya, ani mój kredyt nie należą do ostatnich, ale jedno i drugie wzmocni się, gdy będę miał za sobą kawal ziemi, i to taki duży. Słyszałem sam od Pławickiego w swoim czasie, że byłby gotów Krzemień sprzedać. Otóż przypuszczam, że teraz jest jeszcze bardziej gotów, i że można będzie cały ten majątek nabyć tanio, na jakies splaty, za jakąś marną na razie gotówkę, z dodatkiem rente viagère. Zobaczę wreszcie! Później, oporządziwszy go trochę, jak konia na jarmark, można go będzie sprzedać, a tymczasem będę miał tytuł własności, o który, entre nous, mocno mi chodzi.

Połaniecki słuchał z pewnym przymusem słów Maszki, poczem rzekł:

— Muszę ci i ja powiedzieć otwarcie: kupno nie pójdzie łatwo. Panna Pławicka jest bardzo sprzedaży przeciwna. Ona, jak to kobiety! Kocha się w swoim Krzemieniu i uczyni wszystko, co będzie mogła, żeby został w jej i ojca rękach.

— Więc w najgorszym razie zostanę wierzycielem pana Pławickiego, i nie myśl, żeby suma mi przepadła. Naprzód, mogę ją, za przykładem twoim, sprzedać, powtóre, jako adwokat, mam daleko większą łatwość wydobywania jej. Mogę sam wynaleźć sposoby wyplacenia i wskazać je Pławickiemu.

— Możesz także subhastować Krzemień i nabyć go na licytacji.

— Mógłbym, gdybym był kim innym, ale Maszce dyabło nie wypada. Nie! Znajdą się inne środki, na które może i panna Pławicka, którą zresztą bardzo cenię i wysoko stawiam, chętnie się zgodzi.

Polaniecki, który w tej chwili dopijał resztek kawy, postawił nagle filiżankę na stole.

— A! — rzekł — można i tak dojść do tytułu własności.

I znowu chwyciło go uczucie wielkiej przykrości i gniewu. W pierwszej chwili chciał wstać i powiedzieć Maszce: «Sumy nie sprzedam!» — i pójść. Pohamował się jednak, Maszko zaś rozczesał bokobrody i odpowiedział:

— A gdyby?... Mogę ci słowem zaręczyć, że w tej chwili jeszcze takiego planu nie mam, że przynajmniej nie postawiłem go sobie wyraźnie. Ale... a gdyby? Pannę Pławicką poznałem w swoim czasie w Warszawie którejs zimy, i podobala mi się bardzo. Rodzina jest dobra, majątek zrujnowany, ale duży i możliwy do uratowania. Kto wie! To taka myśl, jak i każda inna. Jestem z tobą zupełnie lojalny, jak zresztą jestem zawsze. Pojechałeś niby po pieniądze, ale ja wiedziałem, dlaczego cię te panie tam wyprawiły. Wróciłeś jednak zły, jak dyabeł, więc przy-

puszczam, że nie masz zamiarów. Jeśli mi powiesz, że się mylę, to ustąpię natychmiast — nie od planu, bo, jakem ci zaręczył, nie mam go jeszcze, ale nawet od myślenia o nim, jak o czemś możliwem. Daję ci na to słowo. Tylko znów w razie przeciwnym nie trzymajże się zasady: «Ni dla mnie, ni dla kogo» — i nie zagradzaj pannie drogi. A teraz słucham cię.

Połaniecki przypomniał sobie swoje wczorajsze rozumowania; pomyślał także, że Maszko ma słuszość, mówiąc, iż w takim razie nie powinien pannie zagradzać do niczego drogi, i po pewnym czasie odrzekł:

— Nie, Maszko, ja nie mam żadnych zamiarów względem panny Pławickiej. Możesz się z nią żenić, albo nie! Powiem ci jednak otwarcie: jest jedna rzecz, która mi się w tem nie podoba, chociaż dla mnie korzystna: oto, że ty kupujesz tę sumę. Wierzę, że nie masz jeszcze gotowego zamiaru, ale na wypadek, jeśli go poweźmiesz? To jakoś będzie dziwnie wyglądało... Na jakiś nacisk, na jakąś sieć... To zresztą twoja rzecz...

— Tak dalece moja, że gdyby mi to powiedział kto inny, nie ty, tobym mu pierwszy to przypomniał. Mogę ci jednak ręczyć, że gdybym powziął taki zamiar, o czem wątpię, to nie zażądałbym ręki panny Pławickiej, jako pro-

centu od mojej sumy. Jak skoro mogę sobie sumiennie powiedzieć, że kupiłbym sumę w każdym razie, to ją tem samem i mam prawo kupić. Przedewszystkiem, jak dziś rzeczy stoją, chcę kupić Krzemień, bo mi to potrzebne — więc wolno mi użyć wszelkich godziwych środków, które mnie do celu prowadzą.

— Więc dobrze. Sprzedaję. Każ wygotować kontrakt i przyslij mi go, lub przyjdź z nim sam.

— Kontrakt kazałem wygotować memu dependentowi; chodzi tylko o podpisy.

Jakoż w kwadrans później kontrakt został podpisany. Tego dnia Polaniecki, spędzając wieczór u Bigielów, był zły, jak nigdy; pani Bigielowa nie umiała ukryć zmartwienia, i Bigiel, namyśliwszy się nad wszystkim dokładnie, rzekł pod koniec wieczora ze zwykłą rozwagą i powolnością:

— Że Maszko ma i ten plan gotowy, to nie ulega wątpliwości. Idzie tylko o to, czy zwodzi ciebie, mówiąc, że go nie ma, czy i siebie także.

— Niech Bóg ją zachowa od Maszki! — ozwała się pani Bigielowa. — To widzieliśmy tu wszyscy, że ona podobała mu się bardzo.

— Przypuszczałem, — odpowiedział Bigiel — że tego rodzaju człowiek będzie szukał majątku, ale mogłem się mylić. Również być może, że

zechce wziąć żonę z dobrej, starej rodziny, aby umocnić przez to swoje położenie towarzyskie, pozawierać stosunki, spokrewnić się z licznymi rodzinami i w końcu wziąć w swoje ręce interesa całej pewnej sfery towarzyskiej. To także niezłe wyrachowanie, zwłaszcza, że gdy zechce skorzystać ze swego kredytu dla Krzemienia, to z czasem, przy swej obrotności, może go oczyścić.

— I jak pani mówi, panna Pławicka podoba mi się przytem naprawdę, — dodał Polaniecki — a ja sobie przypominam teraz, że Pławicki także mi o tem coś wspominał.

— Więc co, panie? — pytała pani Bigielowa — więc jakże będzie?

— Więc panna Pławicka, jeśli zechce, to wyjdzie za pana Maszkę — odrzekł Polaniecki.

— A pan?

— A ja jadę tymczasem do Reichenhallu.

VI.

I rzeczywiście, w tydzień później wyjechał do Reichenhallu, ale przedtem jeszcze otrzymał list pani Emilii, wypytujący go o wyprawę do Krzemienia. Na list ów nie odpisał, mając za-

miar ustnie nań odpowiedzieć. Dowiedział się również, ale dopiero w wigilię wyjazdu, iż Maszko poprzedniego dnia wyjechał do Krzemienia, i wiadomość ta obeszła go więcej, niż się spodziewał. Mówił sobie wprawdzie, że nie dalej, niż w Wiedniu, już o tem zapomni, ale zapomnieć nie mógł i głowę miał tak zajętą myślą o tem, czy panna Plawicka wyjdzie za Maszkę, że z Salzburga napisał list do Bigiela, niby w interesach, ale właściwie żądający przysłania mu wiadomości o Maszce. Słuchał też piąte przez dziesiąte rozpraw towarzyszącego mu Waskowskiego o wzajemnym stosunku do siebie ludów austriackich i o misyi narodów nowożytnych w ogólności. Nieraz tak był zajęty myśleniem o Maryni, że wprost nie odpowiadał na pytanie. Dziwiło go też, że chwilami widzi ją tak wyraźnie, jakby przed nim stała, więc nietylko jako dokładny obraz, ale jako żywą istotę. Widział jej miłą, łagodną twarz ze ślicznemi ustami i z małym znamieniem nad górną wargą, jej oczy, patrzące spokojnie, w których widać było skupienie i uwagę, z jaką słuchała jego słów; widział całą jej postać, wysmukłą, giętką, od której biło ciepło wielkiej, a zarazem niezmiernie dziewiczej młodości. Przypominał sobie jej jasną suknię i końce stóp, wyglądające z pod jej sukni, i delikatne, lubo nieco opalone, ręce,

i ciemne włosy, poruszone powiewem w ogrodzie. Nigdy nie spodziewał się, żeby mogła istnieć pamięć tak niemal dotykalna — i to pamięć osoby, widzianej przez czas tak krótki. Rozumiał jednak, że to jest dowód, jak głębokie naprawdę zrobiła ona na nim wrażenie, i gdy chwilami przechodziło mu przez głowę, że to wszystko, co się tak wycisnęło w jego pamięci, może posiadać Maszko, prawie nie chciało mu się w to wierzyć. Pierwszym jego porywem w takich chwilach, zresztą zgodnym z jego czynną naturą, była niepowstrzymana chęć, żeby temu przeszkodzić. Musiał sobie dopiero przypominać, że to jest sprawa już w jego woli rozstrzygnięta, i że postanowił sobie zaniechać panny Plawickiej.

Obaj z Waskowskim dojechali do Reichenhallu wczesnym rankiem i zaraz pierwszego dnia, nim dowiedzieli się o adresie pani Emilii, spotkali ją wraz z Litką w parku miejscowym. Pani Chwastowska, która nie spodziewała się ich, a przynajmniej nie Polanieckiego, ucieszyła się na ich widok szczerze. Radość jej została tylko przyćmiona tem, że Litka, dziecko wyjątkowo wrażliwe, a przytem chore na astmę i na serce, ucieszyła się jeszcze bardziej, tak nawet bardzo, że dostała silnego bicia serca w połączeniu z dusznością i niemal omdleniem.

Ale były to częste u niej objawy i, gdy atak minał, pogoda wróciła na wszystkie twarze. Wracając do domu, dziecko trzymało za rękę «pana Stacha», i w chmurnych zwykle jej oczach świeciła głęboka radość. Od czasu do czasu ścisnęła tę rękę, jakby chcąc się upewnić, że on naprawdę przyjechał do Reichenhallu i że jest przy niej. Polaniecki wprost nie miał czasu o niczem mówić z panią Emilią, ani ona o nic go rozpytać, bo Litka pokazywała mu Reichenhall i, szczebiocząc bez ustanku, chciała mu odrazu pokazać wszystkie piękniejsze miejsca. Co chwila zaś mówiła:

— To nie jeszcze. Thumsee ładniejsze, ale pójdziemy tam dopiero jutro.

Poczem, zwracając się do matki:

— Mama pozwoli, prawda? Ja teraz mogę dużo chodzić. To niedaleko. Mama pozwoli, prawda?

Chwilami znów odsuwała się od Polanieckiego i, nie puszczaając jego ręki, patrzyła na niego swemi wielkimi oczyma, powtarzając:

— Pan Stach! pan Stach!

Polaniecki okazywał jej ze swej strony największą tkliwość, na jaką mógłby się zdobyć starszy brat; raz wraz też gderał na nią do brotliwie:

— Kociak niech tak nie leci, bo się zadyszy.

A ona przytulała się do niego i, wysuwając naprzód usteczka, odpowiadała, niby się gniewając:

— Cicho, pan Stach!

Połaniecki spoglądał jednak od czasu do czasu na jasną twarz pani Emilii, jakby chcąc jej dać poznać, że pragnie z nią pomówić. Ale nie było sposobu, gdyż pani Emilia nie chciała psuć wesołości Litce i wołała jej pozostawić wspólnego przyjaciela na wyłączną własność. Dopiero po obiedzie, który jedli razem, w ogrodzie, wśród zieloności i świegotania wróbli, gdy Waskowski począł opowiadać Litce o ptakach i o miłości, jaką miał dla nich św. Franciszek z Assyżu, a dziecko, wsparłszy główkę na ręce, zasłuchało się zupełnie, Połaniecki zwrócił się do pani Chwastowskiej.

— Czy pani nie zechce się przejść do końca ogrodu?

— Dobrze — odpowiedziała. — Litko, zostań na minutkę z panem Waskowskim, my w tej chwili wracamy.

I poszli, poczem zaraz pani Emilia spytała:

— I cóż?

Połaniecki począł opowiadać, ale, bądź że chciał się lepiej przedstawić pani Emilii, bądź że postanowił rachować się z jej naturą mimozy, bądź wreszcie, że ostatnie myśli o Maryni

nastroiły go na jakąś tkliwszą niż zwykle nutę, dość, że całkowicie rzecz przekreślił. Przyznał się wprawdzie do kłótni z panem Pławickim, ale milczał o tem, że przed wyjazdem z Krzemienia odezwał się i do Maryni w sposób szorstki, natomiast nie szczędził jej w opowiadaniu pochwał i wreszcie tak skończył:

— Ponieważ ten dług stał się odrazu powodem nieporozumień między mną a Pławickim, co musiało się odbić i na pannie Maryni, więc wolalem go sprzedać i właśnie przed samym wyjazdem sprzedałem Maszce.

Pani Emilia, która nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach pieniężnych, a natomiast posiadała prostotę zupełnie anielską, odrzekła:

— To dobrze pan zrobił. Między wami nie powinno być takich rzeczy, jak pieniądze.

Lecz Polaniecki zawstydzil się w tej chwili, że wyprowadza w pole taką naiwną duszę i odrzekł:

— Tak!... Raczej, nie! Myślę, żem źle zrobił. Bigiel jest także zdania, że to nie było dobrze... Maszko może ich przyciskać, może stawiać rozmaite żądania, może wystawić na sprzedaż Krzemień... Nie, pani, to nie jest postępek delikatny, ani taki, któryby mógł nas zbliżyć, i nie byłbym tego uczynił, gdyby nie to, żem doszedł

do przekonania, iż trzeba sobie to wszystko raz na zawsze wybić z głowy.

— A, nie! Niech pan tego nie mówi. Ja wierzę, że we wszystkim jest przeznaczenie — i wierzę także, że Opatrzność przeznaczyła was wzajem dla siebie.

— Tego ja, pani, nie rozumiem. Jeśli tak jest, to nie potrzebuję o nic zabiegać, bo w każdym razie muszę ożenić się z panną Plawicką.

— Nie. Ja mam kobiecą głowę i może mówię nedorzeczności, ale mi się zdaje, że Opatrzność chce i obmyśla wszystko tak, jakby było najlepiej, ale zostawia ludziom wolę, ci zaś często nie chcą iść za tem, co im przeznaczono, i dlatego tylu jest nieszczęśliwych.

— Może. Trudno jednak iść za czem innem, prócz za własnem przekonaniem. Rozum to także latarka, którą nam Bóg dał w rękę. Kto mi przytem zaręczy, czy panna Marynia wyszłaby za mnie?

— Powinnam już mieć od niej wiadomość o pańskich odwiedzinach w Krzemieniu, i dziwię się, że dotychczas nie mam. Myślę, że najdalej jutro list nadejdzie, bo my pisujemy do siebie co tydzień. Czy ona wie o pańskim wyjeździe do Reichenhallu?

— Nie. Ja sam, będąc w Krzemieniu, nie wiedziałem jeszcze, dokąd pojedę.

— To dobrze, bo będzie szczerą, chociaż ona i tak byłaby szczerą.

Na tem skończyła się rozmowa pierwszego dnia. Wieczorem, na prośbę Litki, postanowiono pójść nazajutrz do Thumsee i wyjść zrana, tak, aby obiad zjeść nad jeziorem, powrócić zaś powozem, lub, o ileby Litka nie była zmęczoną, to piechotą, byle zdążyć przed zachodem słońca. Waskowski i Polaniecki stawili się przed willą tych pań przed dziewiątą rano. Obie były już przybrane i czekały na werendzie, obie zaś wyglądały tak zjawiskowo, że aż stary pedagog Waskowski został tem odurzony.

— Że też Pan Bóg tworzy sobie czasem z ludzi zupełnie kwiaty! — rzekł, ukazując zdala matkę i córkę.

Rzeczywiście i pani Emilia, i Litka, były przedmiotem podziwu dla całego Reichenhallu. Pierwsza, ze swoją uduchowioną anielską twarzą, była jakby wcieleniem miłości i tkliwości macierzyńskiej, a zarazem egzaltacyi; druga, o chmurnych wielkich oczach, płowej czuprynie i rysach tak delikatnych, wyglądała raczej na jaki artystyczny pomysł, niż na żywą dziewczynkę. Dekadent Bukacki mawiał o niej, że jest utkana z mgły, ledwie trochę zaróżowionej przez świt. Jakoż było w tej dziewczynie coś prawie niezmiernego, które to wrażenie potęgo-

wala jeszcze jej choroba, jej nadmierna wrażliwość i uczuciowość. Matka kochała ją ślepo, otaczający również; ale dziecko, wyjątkowo z natury słodkie, nie dało się popsuć.

Połaniecki, który w Warszawie widywał panią Emilię kilka razy tygodniowo, był do obydwóch szczerze przywiązany. W mieście, w którym sława kobieca jest mniej szanowaną, niż gdziekolwiek na świecie, robiono z tego powodu plotki, oczywiście najniesłuszniejsze, gdyż pani Emilia była pod każdym względem czysta, jak dziecko, i nosiła swą egzaltowaną głowę poprostu w błękitcie, jakby nie wiedząc, że zło istnieje. Była nawet tak dalece czystą, że nie rozumiała potrzeby zwracania uwagi na pozory. Przyjmowała z radością tych, których kochała Litka, lecz odmówiła kilka dobrych partyi, wyraźnie oświadczając, że osobiście nic jej na świecie, prócz Litki, nie potrzeba. Jeden tylko Bukacki utrzymywał, że pani Emilia działa na jego nerwy; Połaniecki tak się przystosował do owego błękitu, otaczającego tę kryształową kobietę, że wprost nie zbliżał się nigdy do niej z myślą zmąconą przez pokusę.

I teraz więc, po uwadze Waskowskiego, odrzekł z prostotą:

— Rzeczywiście, bajecznie obie wyglądają!
I przywitawszy je, powtórzył mniej więcej

to samo pani Emilii, jako coś, co w danym wypadku zwróciło jego uwagę. Ona uśmiechnęła się z zadowolenia, prawdopodobnie dlatego, że pochwała obejmowała także Litkę, i, zbierając suknię do drogi, rzekła:

— Miałam rano list i umyślnie go wzięłam, by panu pokazać.

— Wolno zaraz przeczytać?

— Wolno. Proszę.

I ruszyli drogą leśną ku Thumsee, pani Emilia, Waskowski i Litka na przedzie, Połaniecki nieco za nimi, z głową schyloną nad listem.

List brzmiał jak następuje:

«Droga moja Emilko! Dziś odebrałam twoją litanię pytań i zaraz odpowiadam, bo i mnie pilno podzielić się z tobą myślami. Pan Połaniecki wyjechał w poniedziałek, zatem dwa dni temu. Pierwszego wieczoru przyjechał go, jak przyjmuję wszystkich — i nic a nic nie przyszło mi do głowy, ale nazajutrz było święto, miałam wolny czas, i byliśmy prawie całe popołudnie nietylko razem, ale sam na sam, bo papa pojechał do państwa Jamiszów. Cóż ci mam powiedzieć? Taki sympatyczny, taki szczery, a przytem prawdziwy mężczyzna! Z tego, co mówił o Litce i o tobie, zaraz zmiarkowałam, że ma dobre serce. Chodziliśmy długo nad stawem, po ogrodzie. Obwiązywałam mu rękę, bo się skale-

czył o łódź. Mówił rzeczy takie rozumne, żem się zasluchiwała w jego słowa. Ach, moja Emilko, wstyd mi się przyznać, ale moja biedna głowa trochę się zawróciła przez ten wieczór. Ty wiesz przecie, jaka tu jestem sama, zapracowana, i jak rzadko widuję podobnych ludzi. Zdawało mi się, że przyjechał gość z jakiegoś innego i lepszego świata. On mi się nie tylko podobał, ale mnie tak ujął swoją serdecznością, że nie mogłam zasnąć i ciągle o nim myślałam. Wprawdzie nazajutrz pokłócili się z papą, a nawet i mnie się trochę dostało, choć Bóg widzi, ilebym dała za to, żeby między nami nie było tego rodzaju spraw. W pierwszej chwili dotknęło mnie to mocno, i gdyby ten brzydki człowiek wiedział, ilem się napłakała w swoim pokoju, toby mnie pożałował. Ale później pomyślałam, że on musi być bardzo żywy, że papa nie miał słuszności, i nie gniewam się już. Powiem ci też do uszka, co mi jakiś głos szepce ciągle: oto, że on tego długu, który ma na Krzemieniu, nie sprzeda nikomu, choćby dlatego, żeby przyjechać tu jeszcze. To, że się tak źle rozstali z papą, to nie. Sam papa tego do serca nie bierze, bo to są jego sposoby, nie zaś uczucia, ani przekonania. We mnie ma pan Połaniecki szczerą przyjaciółkę, która zrobi wszystko, co będzie mogła, by zaraz po rozprzedaży Magie-

rówki ustały te wszystkie powody nieporozumień i wogóle te brzydkie sprawy pieniężne. Wówczas on musi przyjechać, choćby dla odebrania swej należności — nie prawda? Może też i ja podobałam mu się trochę, że zaś człowiek taki żywy powie czasem coś przykrego, nie trzeba się dziwić. Nic mu o tem nie mów, jak go zobaczysz, i nie laj go, niech cię Bóg broni. Nie wiem dlaczego, mam jakąś ufność, że on nie zrobi krzywdy ani mnie, ani papie, ani mojemu kochanemu Krzemieniowi, i myślę, że dobrze byłoby na świecie, gdyby wszyscy byli do niego podobni. Ściskam najserdeczniej ciebie, moja droga, i Litkę. Napisz mi o jej zdrowiu jak najobszerniej i kochaj mnie tak, jak ja ciebie».

Polaniecki, skończywszy czytać, wsunął list do bocznej kieszeni surduta, następnie zapiał go, następnie przesunął kapelusz na tył głowy, następnie uczuł nagle wielką ochotę polamania swej laski na drobne kawałki i wrzucenia jej w strumień; nie uczynił tego jednak, tylko począł mruczeć przez zaciśnięte zęby:

— Tak? dobrze! Znasz ty Polanieckiego?...
Licz na to, że cię nie pokrzywdzi! Dobrze wyjdiesz!

Potem zwrócił do siebie mowę w sposób następujący:

— Dobrze ci tak! bo to jest anioł, a tyś go nie wart.

I znów porwała go chęć połamania w kawałki własnej laski. Oto ujrzał teraz wyraźnie, że dusza tej dziewczyny gotowa była oddać mu się z całą wiarą i ufnością, a on zgotował jej odrazu jeden z takich bolesnych i dotkliwych zawodów, których pamięć — zostaje raz na zawsze i boli wiecznie. Sprzedać sumę, to było nic, ale sprzedać ją człowiekowi, pragnącemu ją kupić w takim zamiarze, jak Maszko, to znaczyło powiedzieć tem samem pannie: «Nie chcę cię — i idź sobie za niego, jeśli ci się tak podoba». Co za gorzkie rozczarowanie dla niej, po tem wszystkim, co do niej mówił owej niedzieli, po tych słowach przyjaznych, otwartych, a zarazem przeznaczonych na to, by wniknęły do jej serca! Bo one były jednak na to przeznaczone, i Połaniecki czuł, że ona tak je wzięła. Mógł sobie teraz powtarzać, ile razy chciał, że one do niczego nie obowiązują, że za pierwszą bytnością i w pierwszej rozmowie z kobietą człowiek wysuwa tylko rogi, jak ślimak, i próbuje, na jaki grunt trafił. Nie byłoby to mu teraz żadną pociechą. Zresztą, nie tylko nie był w humorze usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale raczej pragnąłby się był spoliczkować. Pierwszy raz zobaczył tak wyraźnie, że

mógłby uzyskać i serce i rękę Maryni, im zaś ta możliwość przedstawiała mu się bardziej realnie, tem strata wydawała mu się bardziej niepowetowaną. Na dobitkę, od chwili przeczytania owego listu, począł się w nim nowy przewrót. Własne rozumowania, że powinien zaniechać Maryni, wydały mu się naraz i płaskie i nędzne. Polaniecki, przy wszystkich swych wadach, miał wdzięczne serce, i list ów wzruszył go do wysokiego stopnia tą dobrocią i wyrozumiałością, tą gotowością do kochania, jakie w nim tkwiły. Skutkiem tego, wspomnienie Maryni poróżowiło nagle w jego sercu i pamięci, poróżowiło nawet tak mocno, że pomyślał:

— Ja teraz zakocham się w niej, jak Bóg w niebie!

I ogarnęło go rozczenie dla Maryni, przed którem nawet złość na samego siebie musiała ustąpić. Po chwili, połączywszy się z resztą towarzystwa, wysunął się nieco z panią Emilią naprzód i rzekł:

— Niech mi pani daruje ten list.

— Z największą chęcią. Prawda, jaki pocziwy? A nie przyznał mi się pan, że i jej się coś dostało na wyjeździe? Ale nie będę panu robiła wymówek, skoro ona sama bierze pana w obronę.

— Pani! Gdyby to co pomogło, prosiłbym,

by mnie pani obija. Ale tu już niema o czem mówić, bo to rzeczy niepowetowane.

Pani Emilia nie podzielała jednak wcale tego zdania. Owszem, widząc wzruszenie Polanieckiego, nabrała pewności, że sprawa, w której obie strony czują tak żywo, stoi jak najlepiej i musi skończyć się pomyślnie. Na samą tę myśl jej śliczna słodka twarz rozjaśniła się wielką radością.

— Zobaczymy to za kilka miesięcy — rzekła.

— Ani pani się domyśla, co możemy zobaczyć — odparł Polaniecki, myśląc o Maszce.

Na to znów pani Emilia:

— Niech pan pamięta o jednej rzeczy, że kto raz zyska serce Maryni, ten się nie zawiedzie nigdy.

— Wierzę, — odpowiedział ze smutkiem Polaniecki — ale też takie serca, raz zrażone, nie powracają więcej.

Dalej nie mogli rozmawiać, bo Litka i pan Waskowski przysunęli się do nich. Po chwili dziewczynka zagarnęła, jak zwykle, Polanieckiego na wyłączną swą własność. Las, zanurzony w łagodnem porannem świetle pogodnego dnia, zajmował ją nadzwyczajnie, więc poczęła wypytywać o rozmaite drzewa, co chwila zaś wykrzykiwała z radością:

— Rydze!

Lecz on odpowiadał jej mechanicznie, myśląc o czem innym:

— Rydze, kotku, rydze!

Nakoniec droga zniżyła się i pod stopami ujrzeli Thumsee. Po upływie pół godziny, zeszli na bity gościniec, ciągnący się nad samym brzegiem, na którym widać było tu i owdzie drewniane kładki, powyciągane na kilka kroków w wodę. Litka miała ochotę zobaczyć z bliska wielkie ryby, które widać było w przezroczystej toni. Polaniecki, wzięwszy ją za rękę, wprowadził ją w tym celu na jedną z kładek.

Ryby, przyzwyczajone do okruszyn chleba, rzucanych przez gości, zamiast uciekać, zbliżyły się jeszcze, i wkrótce cały ich wianek otoczył stopy Litki. W błękitnawej toni widać było złotawo-brunatne grzbiety karpów i szarą plamistą łuskę lososio-pstrągów, oraz okrągłe oczy, wpatrzone jakby z wyrazem prośby w dziewczynkę.

— Wracając, weźmiemy dużo bułek — mówiła dziewczynka. — Jak one dziwnie patrzą. Co one myślą?

— One myślą bardzo powoli — rzekł Polaniecki — i tak, dopiero za godzinę albo za dwie powiedzą sobie: «Aha! tu stała jakaś dziewczynka z płową czupryną, w różowej sukience i w czarnych pończoszkach».

— A o panu Stachu co pomyśla?

— Pomyśla, żem jaki Cygan, bo ja nie mam płowej czupryny.

— Nie. Cygany nie mają przecie domu.

— I ja nie mam domu, Litko. Mogłem go mieć, alem go sprzedał.

Połaniecki wymówił ostatni wyraz w jakiś niezwyuczajny sposób, i wogóle był w głosie jego smutek. Dziewczynka spojrzala na niego uważniej, i zaraz wrażliwa jej twarzyczka odbila jego smutek tak, jak owa toń odbijała jej własną postać. Potem, gdy się połączyli z resztą towarzysztwa, podnosiła na niego od czasu do czasu swoje chmurne oczy, z wyrazem pytającym i niespokojnym. Wreszcie, ścisnąwszy mocniej jego rękę, za którą trzymała, rzekła:

— Co panu jest, panie Stachu?

— Nic, dziecinko. Rozglądam się po jeziorze i dlatego nic nie mówię.

— Bo ja się tak cieszyłam wczoraj, że panu pokażę Thumsee...

— Owszem. Chociaż niema skał, bardzo tu ładnie! A tamten domek z drugiej strony?

— Tam będziemy jedli obiad.

Tymczasem pani Emilia rozmawiała wesolo z Waskowskim, który, niosąc w ręku kapelusz i szukając co chwila po kieszeniach chustki dla

obtarcia lysiny, opowiadał jej swoje spostrzeżenia nad Bukackim.

— On jest Arya — kończył — i dlatego w ciągłym niepokoju dąży do spokoju. Teraz kupuje obrazy i sztychy, myśląc, że tem zapelni próżnię. Ach, pani, na co ja patrzę! Toż to te dzieci wieku noszą w duszy taką otchłań, jak naprzykład to jezioro, a w dodatku bezdenną, i myślą, że można ją zapelnić obrazkami, akwafortami, amatorstwem, dyletantyzmem, Baudelaire'm, Ibsenem, Maeterlinckiem, wreszcie dyletantyzmem naukowym. Biedne ptaki, rozbijające głowy o ściany klatek! To tak samo, jakbym chciał wypełnić to oto jezioro, wrzuciwszy w nie ten kamyk.

— A cóż może zapelnić życie?

— Wszelka szersza idea, wszelkie większe uczucie, ale pod jednym warunkiem, by były poczęte w Chrystusie. Gdyby Bukacki po chrześcijańsku kochał sztukę, dałaby mu pogodę, której mimowoli szuka.

— A mówił mu pan to?

— I to, i wiele innych rzeczy. Ja i jego i Polanieckiego ciągle namawiam, by czytali życie św. Franciszka z Asyżu. Nie chcą i śmieją się ze mnie. A jednak, to był największy człowiek i największy święty średnich wieków, który odrodził świat. Gdyby się teraz znalazł podobny,

odrodzenie w Chrystusie nastąpiłoby jeszcze szersze i jeszcze zupełniejsze.

Zbliżało się południe, z niem upał. Las poczynał pachnąć żywicą, a jezioro wygładziło się zupełnie w ciszy pełnej blasku i, odbijając błękit bez plamki, zdawało się drzemać.

Doszli wreszcie do domu i ogrodu, w którym była restauracya, i siedli pod cieniem buku, przy zastawionym stole. Polaniecki, przywoławszy kelnera w brudnym fraku, zamówił obiad, poczem rozglądali się w milczeniu po jeziorze i okolicznych górach.

O parę kroków od stołu rosła kępa irysów, zwilżana przez wodotrysk, urządzonej między kamieniami.

Pani Emilia, spojrzawszy na kwiaty, rzekła:

— Gdy jestem nad jakim jeziorem, a przytem patrzę na irysy, zdaje mi się, że jestem we Włoszech.

— Bo nigdzie niema ani tyle jezior, ani tyle irysów — odrzekł Polaniecki.

— Ani tyle upojenia dla każdego człowieka — dodał Waskowski. — Ja od wielu lat jeżdżę tam co rok, jesienią, szukać sobie schronienia na ostatnie dni. Długi czas wahałem się między Perugią a Asyżem, ale ostatniego roku przeważył Rzym. To jest jakby się do innego świata,

w której widać już jego światło. Pojadę tam w październiku.

— Szczerze panu zazdroszczę — rzekła pani Emilia.

— Litka ma dwanaście lat... — zaczął Waskowski.

Lecz Litka przerwała:

— I trzy miesiące.

— I trzy miesiące; więc choć na swój wiek jest bardzo mała i trzpiotka wielka, czasby jej już rozmaite rzeczy w Rzymie pokazać — mówił dalej Waskowski. — Nic się tak nie pamięta, jak to, co się widziało w dzieciństwie. A choć się wielu rzeczy nie odczuje, ani zrozumie, to przychodzi później i przychodzi bardzo przyjemnie, bo tak, jakby ktoś odrazu oświecił jakieś wrażenia, zanurzone w cieniu... Niech pani jedzie ze mną w październiku do Włoch.

— W październiku nie mogę, bo mam swoje kobiece powody, które mnie zatrzymują w Warszawie.

— Jakie?

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Pierwszy i najglówniejszy, a czysto kobiecy, — rzekła, wskazując Polanieckiego — to ożenić tego pana, który siedzi tak posepny i w gruncie rzeczy... taki rozkochany.

Polaniecki obudził się z zamyślenia i machnął ręką.

A Waskowski zapytał ze zwykłą naiwnością dziecka:

— Zawsze z Marynią Pławicką?

— Tak — odrzekła pani Emilia. — Był w Krzemieniu i próżnoby się zapierał, że go bardzo chwyciła za serce.

— Mogę się nie zapierać — odrzekł Polaniecki.

Lecz dalsza rozmowa została przerwana w przykry sposób, bo Litka niespodziewanie zasłabła. Uczyniło się jej nagle duszno i dostała jednego ze swych zwykłych ataków bicia serca, które przejmowały trwogą o jej życie nawet lekarzy. Matka porwała ją w tej chwili na ręce, Polaniecki skoczył po łód do restauracyi. Waskowski zaś począł ciągnąć z wysileniem do stołu ławkę ogrodową, by dziecko mogło się na niej wyciągnąć i swobodniej oddychać.

— Zmęczyłaś się, dziecinko? prawda? — pytała pobladłemi ustami pani Emilia. — Widzisz, kochanie, że było za daleko... A doktor jednak pozwolił!... Tak gorąco! Ale to nic! to przejdzie! to przejdzie!... Moje skarby, moje kochanie!...

I poczęła całować wilgotne czoło dziewczynki. Tymczasem Polaniecki wrócił z lodem, a za nim nadbiegła miejscowa gospodyni, z poduszką

w ręku. Po chwili ułożono małą na ławce, i podczas gdy pani Emilia obwijala lód w serwetę, Polaniecki, schyliwszy się nad chorą, pytał:

— Jakże ci, kociątko?

— Tylko duszno trochę, ale lepiej... — odpowiedziała, otwierając, jak rybka, usta dla schwywania oddechu.

Nie było jednak wiele lepiej, bo nawet przez sukienkę widać było, jak to małe, chore serce bije gwałtownie w piersiach.

Wszelako pod wpływem lodu atak uspokajał się zwolna, a wreszcie uspokoił się zupełnie, pozostawiwszy po sobie tylko zmęczenie. Litka poczęła się znów uśmiechać do matki, która również ochłonęła nieco z przerażenia. Dziecko należało pokrzepić przed powrotem, więc Polaniecki kazał podać obiad, którego, prócz Litki, nikt zresztą prawie nie tknął, wszyscy bowiem spoglądali na nią co chwila z tajoną obawą, czy duszność znowu jej nie chwyci. W ten sposób upłynęła godzina. Goście poczęli zwolna napływać do restauracyi. Pani Emilia chciała wracać do domu, lecz należało czekać na powóz, po który Polaniecki posłał do Reichenhallu.

Powóz nadszedł wreszcie, ale w drodze czekał ich nowy niepokój. Jakkolwiek jechali noga za nogą i po gościńcu bardzo równym, małe nawet wstrząśnienia męczyły Litkę, tak, że

w pobliżu już Reichenhallu poczęło jej znów czynić się duszno. Prosiła, żeby jej wolno było wysiąść, ale pokazało się, że i droga piesza męczy ją. Wówczas pani Emilia postanowiła ją nieść, Polaniecki jednak, uprzedzając to macierzyńskie poświęcenie, które zresztą nie było w miarę sił pani Emilii, rzekł:

— Lituś, chodź, ja cię poniosę. Inaczej mama zmęczy się i będzie chora.

I nie pytając dłużej, podniósł ją lekko z ziemi i niósł zupełnie swobodnie, na jednej tylko ręce, żeby zaś upewnić i ją, i panią Emilię, że go to wcale nie męczy, począł żartować:

— Jak taki kot chodzi po ziemi, to zdaje się wcale nieduży, a teraz ot, gdzie to te długie nożyska wiszą! Trzymaj się mnie za szyję, to będziesz się mniej kołysała.

I szedł, jak umiał najrówniej, a śpiesznie, bo chciał, by lekarz mógł się nią zająć jak najprędzej; idąc, czuł, jak jej serce bije na jego ramieniu, ona zaś, trzymając się go swemi chudemi ramionkami, powtarzała:

— Niech mnie pan puści! Ja.... nie mogę.... Niech mnie pan puści!

A on odpowiadał:

— Nie puszczę! Widzisz, jak to źle męczyć się na piechotę. Od tej pory weźmiemy zawsze z sobą takie duże, wygodne krzesło na kółkach,

i jak się dziecko zmęczy, to je posadzimy, a ja będę popychał.

— Nie, nie! — powtarzała Litka ze łzami w głosie.

On zaś niósł ją z taką tkliwością, jak starszy brat, lub jak ojciec, i serce miał istotnie wezbrane, raz dlatego, że tę małą kochał istotnie, a powtóre, że przyszło mu do głowy to, o czem dotąd nie myślał, a przynajmniej czego nie odczuwał dość wyraźnie: mianowicie, że małżeństwo otwiera także drogę ojcostwu i tym wszystkim skarbowi szczęścia, które się w niem mieszczą. Teraz, niosąc tę drogą sobie, choć obcą dziewczynkę, zrozumiał, że Bóg stworzył go do życia rodzinnego, nie tylko na męża, ale i na ojca, jakoteż, że właściwy cel i znaczenie życia tkwi w tem właśnie.

I wszystkie jego myśli uleciały do Maryni. Czuł teraz ze zdwojoną siłą, że ze wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkał, ją przedewszystkiem wybrałby za żonę i z nią chciałby mieć dzieci.

VII.

W ciągu następnych dni Litka nie była chora, ale czuła się osłabioną, wychodziła jednak, po-

nieważ doktor nakazał jej wychodzić, ale polecił bardzo usilnie umiarkowany ruch pod górę. Waskowski poszedł do niego umyślnie, by dowiedzieć się, jaki jest stan jej zdrowia. Polaniecki czekał na niego w czytelni, ale już z jego twarzy poznał odrazu, że nic dobrego nie przynosi.

— Lekarz nie widzi natychmiastowego niebezpieczeństwa, — rzekł stary człowiek — ale skazuje to dziecko na wczesną śmierć i wogóle każe nad niem czuwać, bo jak mówi, niepodobna odgadnąć dnia, ani godziny.

Polaniecki zakrył oczy ręką:

— Co za nieszczęście, co za cios!... Matka jej nie przeżyje. Śmierć nad takim dzieckiem! Wierzyć się nie chce!

Waskowski miał lzy w oczach.

— Pytałem, — rzekł — czy ona musi przytem dużo cierpieć. Doktor powiedział, że niekoniecznie i może zgasnąć tak cicho, jakby zaśnęła.

— Matce nie mówił nic o jej stanie?

— Nie mówił. Powiedział wprawdzie, że jest wada serca, ale dodał, że u dzieci często przechodzą takie rzeczy bez śladu. Sam nie ma nadziei.

Lecz Polaniecki niełatwo poddawał się nieszczęściu.

— Co tam jeden doktor — rzekł. — Trzeba

dziecko ratować, póki jest iskra nadziei. Doktor mógł się nie poznać. Trzeba ją zawieźć do specjalisty do Monachium, lub jego tu sprowadzić. Panią Emilię to przerazi, ale trudna rada! Czekajże pan. Można i tego uniknąć. Ja go sprowadzę — i to zaraz. Pani Emilii powiemy, że taki a taki sławny lekarz przyjechał tu do kogoś, i że jest sposobność poradzenia się o Litkę. Nie można zostawić jej bez ratunku. Trzeba tylko do niego napisać, by wiedział, jak z matką gadać.

— A do kogo chcesz pisać?

— Do kogo? Czy ja wiem! Miejscowy doktor wskaże specjalistę. Chodźmy do niego zaraz, by nie tracić czasu.

I sprawa została załatwioną tegoż samego dnia. Wieczorem poszli obaj do pani Emilii. Litka była zdrowa, ale milcząca i zasepiona. Uśmiechała się wprawdzie i do matki i do swego przyjaciela, okazywała obojgu wdzięczność za troskliwość, jaką ją otaczali, ale Polaniecki nie mógł jej rozbawić. Mając głowę nabitą myślą o grożącym jej niebezpieczeństwie, poczytywał mimowoli ów jej smutek za oznakę rozwijającej się choroby, za wczesne przeczuwanie blizkiej śmierci i z przestrachem mówił sobie w duszy, że ona już nie jest taka, jak zwykle, jakby niektóre nitki, łączące ją z życiem, były pozry-

wane. Przestрах jego powiększył się jeszcze, gdy pani Emilia rzekła:

— Litka się dobrze ma, ale wie pan, o co mnie dzisiaj prosiła? — żebyśmy wrócili do Warszawy.

Połaniecki wysiłkiem woli potłumił niepokój i, zwróciwszy się do malej, rzekł, udając wesołość:

— Ach, ty niegodziwe stworzenie! To nie żalby ci było Thumsee?

A dziewczynka poczęła potrząsać swoją płową główką.

— Nie! — odrzekła po chwili.

I lzy zakręciły się jej w oczach, ale prędko nakryła je rzęsami, z obawy, by ich kto nie zobaczył.

— Co jej jest? — pomyślał Połaniecki.

A jej była bardzo prosta rzecz. Oto w Thumsee dowiedziała się, że jej chcą zabrać jej przyjaciela, jej «pana Stacha», jej najmilszego towarzysza. Usłyszała, że on kocha Marynię Pławicką, a dotąd była pewna, że on kocha tylko ją i mamę. Usłyszała, że mama chce go ożenić z tamtą, a dotychczas uważała go za swoją wyłączną własność. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co jej groziło, odczuwała jednak, że ten «pan Stach» odejdzie od niej i że stanie się jej krzywda — pierwsza, jakiej w życiu do-

świadczała. I żeby to kto inny jej tę krzywdę wyrządził, mniejby to ją dotknęło, ale właśnie mama i «pan Stach!» To było jakby koło błędne, z którego dziecko wyjść nie umiało i nie mogło. Jakże im się tu poskarżyć na nich samych? Widać, że tak chcą, że tak sobie życzą, że to im potrzebne i że będą szczęśliwi, gdy się tak stanie. Oto mama powiedziała, że «pan Stach» kocha pannę Marynię, a on nie zaprzeczył, więc trzeba ustąpić, polknąć lzy i milczeć nawet przed mamą.

I Litka zamknęła w sobie pierwszą gorycz życiową. Tak jest! musiała ustąpić, że zaś gorycz zlem jest lekarstwem dla chorego i tak serca, zatem to ustąpienie mogło być zupełniejsze i bardziej tragiczne, niż ktokolwiek z otaczających ją mógł przypuścić.

Lekarz-specjalista przyjechał we dwa dni później z Monachium i, zabawiwszy dwa dni w Reichenhallu, potwierdził zupełnie zdanie miejscowego doktora. Panią Emilię uspokoił. Polanieckiemu zaś powiedział, że życie dziecka może przetrwać miesiące i lata, ale będzie wisiało zawsze jak na nitce, która z lada powodu zerwać się może. Kazał oszczędzać malej wzruszeń, zarówno wesółych, jak smutnych, i czuwać nad nią z największą bacnością.

Otoczono ją więc opieką i pieczyotami. Oszcze-

dzano jej nawet najmniejszych wzruszeń, tylko nie oszczędzano jej największych, jakimi były listy Maryni. Echo tego, który nadszedł w tydzień później, odbiło się jednak o jej nasłuchujące teraz pilnie uszki. Mogło ono wprawdzie rozproszyć jej obawy o «pana Stacha», ale wstrząsnęło nią silnie. Pani Emilia wahała się cały dzień, czy Polanieckiemu pokazać ten list. On się jednak dopytywał teraz codziennie o wiadomości z Krzemienia, musiałaby więc wprost skłamać, chcąc zataić, że nadeszły. Zresztą poczuwała się do obowiązku powiedzenia Polanieckiemu prawdy, by wiedział, jakie napotka trudności.

Drugiego więc wieczoru po odebraniu listu, ułożywszy spać Litkę, sama zaczęła rozmowę w tym przedmiocie:

— Marynia bardzo do serca wzięła to, że pan sprzedał tę sumę na Krzemieniu.

— To był list?

— Tak.

— Może mi go pani pokazać?

— Nie. Mogę tylko przeczytać panu większe ustępy. Marynia jest pogneębiona.

— Czy ona wie, że ja tu jestem?

— Dotychczas musiała nie odebrać mego listu, ale dziwi mnie także, że pan Maszko, który bawi w Krzemieniu, nie wspomniał jej o tem.

— Maszko wyjechał do Krzemienia przede mną i nie był pewny, czy pojedę do Reichenhallu, zwłaszcza, że mu w ostatnich dniach mówił, że zapewne zmienię projekt.

Pani Emilia poszła do biurka po teczkę z listami. Wróciwszy do stołu, poprawiła lampę, poczem, usiadłszy naprzeciw Połanieckiego, wydobyla list z koperty, ale, nim go zaczęła czytać, rzekła:

— Bo widzi pan, jej nie o samą sprzedaż tej sumy chodzi. Ale pan wie... Trochę jej się rozmarzyła główka, więc to miało dla niej i inne znaczenie... Ją naprawdę spotkało wielkie rozczarowanie!

— Pani, — rzekł Połaniecki — komu innemu nie przyznałbym się, ale pani powiem otwarcie: zrobiłem jedno z największych głupstw w życiu, ale też za żadne nie byłem tak ukarany.

A ona podniosła na niego ze współczuciem swe tkliwe, blado-niebieskie oczy.

— Biedny pan! Więc pan naprawdę taki zajęty Marynią? Przecież nie przez ciekawość pytam, tylko z przyjaźni... Bo jabym się starała to wszystko naprawić, ale chciałabym być pewna...

— Wie pani, co mnie dobilo? — przerwał gwałtownie Połaniecki: — tamten poprzedni list! W Krzemieniu podobała mi się! Zacząłem o niej

myśleć. Mówilem sobie: ta byłaby miłsza i lepsza niż jakakolwiek. Ta jest taka, jakiej właśnie szukałem! Ale cóż? Ja sobie dawno powiedziałem: nie będę człowiekiem miękkim i swego nie daruję. Pani rozumie, że jak się z czego zrobi zasadę, to człowiek się jej trzyma, choćby przez ambicję. Przytem w każdym z nas siedzi dwóch ludzi, z których drugi krytykuje to, co robi pierwszy. Ten drugi począł mi mówić: «Daj pokój, z ojcem nie wytrzymasz». A to istotnie nieznośna figura! Więc postanowiłem sobie dać pokój. I dlatego pozbyłem się tej sumy. Oto jak było. Dopiero później spostrzegłem, że nie mogę pozbyć się myśli o pannie Pławickiej, i że wciąż mam to samo wrażenie: «Ta jest taka, jakiej szukałeś!» I poznałem, że mój głupstwo zrobił. I było mi żal. Potem, jak przyszedł ten list, jak się przekonałem, że i z jej strony coś było, że ona mnie mogła pokochać i być moją, tak ją również pokochałem. I daję pani słowo, że albo tracę głowę, albo to jest prawda! Póki się samemu człowiekowi coś roi, to nic, ale gdy się zobaczy, że i tam były otwarte ramiona, co za ogromna różnica! Dobil mnie ten list, i rady nie mogę sobie dać!

— Wolę panu nie czytać wszystkiego — odrzekła po chwili pani Emilia. — Naturalnie, ona pisze, że krótki sen skończył się przebudzeniem

prędszem, niż się spodziewała. O panu Maszce mówi, że jest bardzo delikatny w sprawach pieniężnych, jakkolwiek pragnie, by się obróciły na jego korzyść.

— Wyjdzie za niego, jak Bóg w niebie!

— Pan jej nie zna. A o Krzemieniu oto, co pisze:

«Papa ma ochotę pozbyć się majątku i zamieszkać w Warszawie. Ty wiesz, jak kocham Krzemień, jak się z nim zrosłam, ale wobec tego, co się stało, już ja sama zwątpilam, czy moja praca mogłaby się na co przydać. Będę jeszcze próbowała bronić milego kawałka ziemi! Papa jednak powiada, że sumienie nie pozwala mu więzić mnie na wsi, i to jest tem bardziej gorzkie, że niby o mnie chodzi. Doprawdy, że czasem życie zakrawa na ironię. Pan Maszko ofiaruje papie trzy tysiące dożywotnie i całą sumę z parcelacyi Magierówki. Nie dziwię mu się, że szuka własnej korzyści, ale w razie takiego układu doszedłby prawie darmo do majątku. Sam papa powiedział mu: «W ten sposób, jeśli rok pożyczę, wezmę za Krzemień trzy tysiące, bo Magierówka i tak moja». Ale pan Maszko odpowiedział, że w dzisiejszym stanie rzeczy za Magierówkę zabiorą pieniądze wierzyciele, gdy zaś papa zgodzi się na taki układ, jaki on proponuje, to weźmie do ręki gotówkę,

a oprócz tego może żyć trzydzieści lat, albo i więcej. To także prawda. Wiem, że papie w zasadzie podoba się ten projekt, chodzi mu tylko o to, by więcej utargować. Jedyna w tem wszystkim pociecha, że gdy zamieszkamy w Warszawie, to będę widywała częściej ciebie, moja droga Emilko, i Litkę. Szczerze i z całej duszy kocham was obie i wiem, że na wasze przynajmniej serca zawsze mogę liczyć».

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Połaniecki rzekł:

— Więc tak! Pozbawiłem ją Krzemienia, ale za to posłałem jej aspiranta!

I mówiąc to, nie odgadywał, że Marynia napisała w liście te same słowa, i że tylko pani Emilia opuściła je umyślnie, nie chcąc go ranić. Maszko, jeszcze za ostatniej bytności Plawickich w Warszawie, czynił już pewne zabiegi o rękę panny Maryni, nie potrzebowała więc teraz wielkiej domyślności, żeby odgadnąć, co znaczy nabycie przez niego sumy od Połanieckiego i przyjazd na wieś. W tem właśnie tkwiła cała gorycz, zalewająca jej serce, i głęboka uraza, jaką czuła dla Połanieckiego.

— Trzeba to wszystko koniecznie wyjaśnić — mówiła pani Emilia.

— Posłałem jej aspiranta! — powtórzył Po-

laniecki. — Nie mogę się nawet tłumaczyć tem, żem nie wiedział o zamiarach Maszki.

Pani Emilia obracała czas jakiś w swych delikatnych palcach list Maryni, poczem rzekła nagle:

— To tak nie może zostać! Ja chciałam pana z nią połączyć przez przyjaźń, jaką mam dla obojga, ale teraz jest jeden powód więcej, mianowicie pańskie zmartwienie. To byłby wyrzut dla mnie, i ja tak pana nie mogę zostawić. Niech pan nie traci nadziei... Jest ładne przysłowie francuskie, a bardzo brzydkie polskie o potędze i woli kobiecej. Doprawdy, że ja chcę bardzo pomódz!

Polaniecki chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

— Pani jest najlepsza i najzaciejsza w świecie istota, jaką spotkałem.

— Byłam bardzo szczęśliwa, — odpowiedziała pani Emilia — a ponieważ myślę, że do tego jest tylko jedna droga, więc chciałabym, żeby moi blizcy nią poszli.

— Ma pani słuszność. Ta droga, albo żadna! Skoro żyję, więc chcę, żeby się to życie komuś i mnie na coś zdało.

— A ja, skoro pierwszy raz w życiu podjęłam się roli swatki, — rzekła, śmiejąc się, pani Emilia — chcę także, żeby się to na coś

zdalo. Trzeba tylko pomyśleć, co teraz wypada zrobić.

To rzekłszy, podniosła oczy w górę. Światło lampy padało w pełni na jej drobną, młodą jeszcze bardzo twarz, na jej jasne włosy, nieco zwichrzone nad czołem, i było w niej coś tak uroczego, a zarazem i dziewiczego, że Polanieckiemu, jakkolwiek głowę miał zajęłą czem innym, przyszło na myśl przezwisko, które jej dawał Bukacki: wdowy-dziewicy.

— Marynia ma dużo prostoty — rzekła po chwili namysłu — i najlepiej mnie zrozumie, gdy jej napiszę szczerą prawdę. Powiem jej to, co pan mnie mówił: że pan wyjechał zajęty nią bardzo; że to, co pan zrobił, zrobił pan nie obliczywszy się z sobą, pod wpływem tylko tej myśli, że nie mógłby się pogodzić z ojcem; ale, że obecnie pan najszczerzej tego żałuje, prosi, by nie brała tego za złe i nie odejmowała nadziei, że się pozwoli przebłagać.

— A ja napiszę do Maszki, że odkupię u niego tę sumę z takim zyskiem, jakiego on żąda. Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Oto ten trzeźwy, wyrachowany pan Polaniecki, który się chlubi, że pozbył się polskiego charakteru i polskiej lekkomyślności.

— A tak! a tak! — zawołał już weselszym

tonem Polaniecki. — Wyrachowanie polega na tem, żeby nie żałować na to, co warte.

Lecz w tej chwili sposepniał.

— A jeśli ona odpowie, że jest narzeczoną Maszki?

— Nie przypuszczam. Pan Maszko może być najzacniejszy człowiek, ale on nie dla niej. Ona nie wyjdzie za mąż bez przywiązania, a wiem, że pan Maszko nie podobał się jej zupełnie. To się nigdy nie stanie. Pan Maryni nie zna. Niech pan tylko uczyni ze swojej strony, co w pana mocy, ale o pana Maszkę niech pan będzie spokojny.

— Więc, zamiast pisać, zatelegrafuję dziś do niego. On nie może w Krzemieniu długo jednym ciągiem bawić i musi w Warszawie odebrać moją depeszę.

KONIEC TOMU PIĘTNASTEGO.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

78951 L-P

Biblioteka WSP Kielce



0226139